

44248  
284

EDGAR WALLACE

WILLS  
ZBRODNIARZ

POWIEŚĆ

PRZEKŁAD F. MIRANDOLI

BIBLIOTEKA  
JERZYJA MOJACZEWSKIEGO  
44248

KRAKÓW 1929  
SKŁAD GŁÓWNY: UDZIAŁOWA  
SPÓŁKA WYDAWNICZA

*Faint handwritten text, possibly bleed-through from the reverse side of the page.*



11.571.284

DRUKARNIA L. GRONUSIA I SKI W KRAKOWIE.

1991 7 303/6200

44 248  
284

Książka zle stozona  
przeprzebie pierwej? 1<sup>o</sup> część  
"pod biorem groj" miedziwego nie w dm  
potwierd tej książki 1.11.15?  
I. gram. 2

### EDYTA POZNAJE SKRZYPACZKĘ.

Tego wieczoru obiadowała Edyta sama jedna. Zrazu samotność taka dawała jej uczucie ulgi niezmiernej. Była kobietą bardzo bystrego umysłu, toteż uświadamiała sobie w pełni, że nadejdzie czas, kiedy będzie żyła z Gilbertem w zupełnej zgodzie, chociaż bez tych stosunków bliskich, jakie łączą zawsze męża i żonę. Gotowa była przyjąć całe, długie lata doświadczeń losu, a przychodziło jej to łatwiej znacznie, gdy interesy, lub rozrywki dzieliły ich w przykrych nader godzinach pomiędzy posiłkiem wieczornym, a spaniem.

Tego wieczoru jednak, poraz pierwszy dopiero czuła się osamotnioną.

Czuła potrzebę Gilberta, jego towarzystwa i jego męskiej pełni siły życia.

Zdarzały się chwile, kiedy promieniał wprost szczęściem i był tak rozmowny jak

dawniej, w najlepszych czasach przed ślubem. Ale wracało czysto bolesne przygnębienie. Wówczas nie pokazywał jej się na oczy, zamknięty w swojej pracowni, tak że mogła rzadko tylko i przypadkowo objąć spojrzeniem twarz jego. Siedziała u stołu to czytając, to dumając, naprzemian.

Książka otwarta leżała obok niej, ale dość długo już nie obracała kartek. Służąca zabrała właśnie przystawki, gdy Edyta Standerton podniosła z przerażeniem oczy.

— Co to? — spytała.

— Co, proszę pani? — zdziwiła się służąca.

W ulicy, tuż pod oknem rozbrzmiewały tonny muzyki, o miłym, wabnym rytmie i żałośliwej tonacji melodji smętnej.

Edyta wstała, podeszła do okna i otwarła je. W ulicy grała na skrzypcach dziewczyna. Przy świetle latarni ulicznej poznała w niej Edyta wykonawczynię melodji F. dur.

Zwróciwszy się do czekającej służącej, rzekła spokojnie:

— Proszę mi zaraz sprowadzić tutaj tę dziewczynę.

— Jaką dziewczynę, proszę pani? — spytała służąca ze zdumieniem.

— Tę dziewczynę, która gra na skrzypcach! — odrzuciła Edyta. — Proszę się spieszyć, gdyż inaczej może odejść.

Przepoilo ją nagle postanowienie odkrycia tej tajemnicy. Mimo, że był to może postępek niewłaściwy w stosunku do męża, pocieszyła się, uspokajając skrupuły, myślą, iż może mu oddać przysługę.

Służąca wróciła za kilka minut, wprowadzając dziewczynę.

Tak, była to ta sama, jaką widziała wieczór, w dniu swoich zaślubin. Stała teraz oto w ramie drzwi, z zupełną swobodą i zaciekawieniem patrząc na panią domu.

— Proszę, zechciej się pani zbliżyć! — rzekła Edyta. — Czy jadła pani już kolację?

— Dziękuję uprzejmie. — odparła. — Zazwyczaj nie jadamy wieczór. Ale nasyciłam się zupełnie podczas herbaty popołudniowej.

— Może pani spocznie na chwilę?

Powabnym gestem głowy przyjęła dziewczyna zaproszenie.

Akcent jej słów nie miał cudzoziemskiego brzmienia, co Edyta przypuszczała, była tedy Angielką niewątpliwie, a sposób mówienia świadczył o wykształceniu, jakiego nie spodziewała się zgoła młoda kobieta.

— Dziwi panią pewnie wezwanie moje? — spytała Edyta Standerton.

W uśmiechu ukazała skrzypaczka dwa szeregi olśniewająco białych, równych zębów.

— Gdy mnie ktoś wzywa — rzekła z ironią — to czyni albo, by zapłacić za granie, albo przekupić, bym grać przestała.

W oczach jej rozbliły się dziecięco szczera radość, a uśmiech opromieniający twarz zmienił całą postać.

— Uczynię jedno i drugie! — oświadczyła Edyta. — A oprócz tego chcę jeszcze zapytać o jedno. Czy zna pani męża mego?

— Pana Standertona? — odrzekła dziewczyna z potakującym skinieniem głowy. — Widziałam go nieraz i grywałam dlań.

— Czy pamięta pani może, jedną noc w czerwcu? — zaczęła Edyta, a na to wspomnienie, serce jej uderzyło żywiej. — Stałaś pani pod tem oknem, grając pewną... — zawałała się — ...pewną melodję...

Dziewczyna skinęła potakująco.

— O tak! rzekła zaskoczona tem pytaniem. — Pamiętam dobrze ten szczególniejszy wieczór.

— Dlaczego szczególniejszy? — rzuciła Edyta żywo.

— Trzeba pani wiedzieć, że z reguły dzia-  
dek mój grywa dla pana Standertona, ale był tego właśnie wieczoru słaby. Podczas wyścigów nabawił się złośliwego przeziębienia. Gdyśmy grali na wielkich wyścigach w Epsom, straszna ulewa przemoczyła nas do nitki, to też onego wieczoru, ja przyszłam tu, by go zastąpić. Nie miałam wcale ochoty wychodzić z domu i — dodała z gorzkim uśmiechem — znieść tej właśnie melodji nie mogę. Ale było to tajemnicze i romantyczne.

— Proszę, powiedz mi pani, dlaczego było to tajemnicze i romantyczne? — rzekła młoda kobieta.

W tej chwili przyniesiono kawę, a Edyta nalala filiżankę gościowi swemu.

— Jakie nosisz pani nazwisko? — spytała potem.

— Mary Wing! — odrzekła dziewczyna.

— Droga Mary, proszę opowiedz mi pani wszystko co wiesz! — ozwała się Edyta, nalewając i sobie także kawę. — Wiedz pani, że nie kieruje mną zwykła ciekawość.

— Chętnie opowiem wszystko, zgodziła się Mary! — potakując skinieniem. — Pamiętam bardzo dobrze ów dzień, gdyż byłam właśnie na lekcji w Akademii Muzyki. Pomyśli pani zapewne, że nie stać nas chyba na to. Ale diabeł tego żąda bezwzględnie. Leżał wieczór na sofie, w mieszkaniu naszym w Hortonie i był potrosze wzburzony... May — powiedział — chciałbym, byś dzisiaj wieczór uczyniła pewną rzecz dla mnie.... Byłam oczywiście gotowa spełnić jego życzenie, ciesząc się myślą, że je zaspokoje.

Dziewczyna umilkła na chwilę.

— Rzecz dziwna! — rzekła. — Ale zdaje mi się, że mam nawet przy sobie dokument potwierdzający opowiadanie moje.



U paska jej zwisała mała torebka z tego samego co suknia materiału. Otworzywszy ją uobyła po chwili kopertę listową.

— Nie oddam pani tego jeszcze, zanim skonczę opowiadać, co potem zaszło. Jak już wspomniałam, był dziadek silnie wzburzony i spytał, czy coś dlań uczynię. Wiedział, oczywiście, że tak się stanie. Powiedział wówczas że otrzymał list zupełnie dlań niezrozumiały i wręczył mi go.

Dziewczyna podała kopertę Edycie.

Edyta wzięła i dobyła z wnętrza niewielką kartkę.

— Ależ to jest pismo męża mego! — wykrzyknęła zdumiona.

— Tak! — potwierdziła May.

Na kopercie widniał stempel Doncastru, a treść była krótka. List nosił adres starego muzyka.

W załączeniu czek pocztowy na 1 funt. Po otrzymaniu pieniędzy, udaj się pan między pół do ósmej, a ósmą pod mieszkanie p. Stander-  
tona i zagraj melodję Rubinsteina F. dur. Proszę się upewnić, że jest w domu. Jeśliby wy-

szedł, idź pan następnego wieczoru i zagraj to samo, o tym samym czasie.

To było wszystko.

— Nie mogę w żaden sposób zrozumieć! — powiedziała zmieszana Edyta. — Cóż to może znaczyć?

Skrzypaczka uśmiechnęła się.

— I ja radabym bardzo wiedzieć co słowa te znaczą. Jestem, jak pani widzi równie ciekawą. Już to, widocznie cecha wszystkich kobiet.

— Więc nie wiesz pani, z jakiego powodu list został wysłany?

— Nie wiem.

— I nie wiesz, co znaczy?

Dziewczyna potrząsnęła głową.

Edyta oglądała kopertę, badając starannie stempel.

Nosił datę 24 maja.

— Dwudziesty czwarty maj? — powtórzyła. — Proszę zaczekać chwilkę! — rzekła, biegnąc do swej sypialni na górze.

Z gorączkowym pośpiechem otworzyła biurko i dobywszy dziennik swój w czerwonej oprawie

wie, w którym notowała pilnie drobne wydarzenia swego życia przy Portland Square rozwarła go na dacie dnia dwudziestego czwartego maja. Były tam dwa tylko zapiski. Pierwszy dotyczył otrzymania nowej sukni, drugi natomiast był pełen znaczenia.

— G. S. przyszedł o siódmej i został na kolacji. Był bardzo roztargniony i wyraźnie wielce stroskany. Wyszedł o dziesiątej. Wieczór uczynił na mnie przykre wrażenie.

Spojrzała znowu na kopertę.

— Doncaster 7.30... — przeczytała.

List ten ostemplowano tedy w miejscowości odległej o 180 mil <sup>1)</sup> od Londynu, w pół godziny po przyśściu Gilberta na Portland Square.

Stroskana wróciła do jadalni, bacząc, by w obecności gościa nie przejawić wzburzenia.

— Czuję się w obowiązku złożyć sztuce mały trybut! — rzekła, biorąc ze sakiewki złotą monetę, którą podała May.

— Ależ nie... nie... — wzbraniała się dziewczyna.

---

<sup>1)</sup> mile angielskie.



— Proszę, weź to pani! Zyskałam bardzo dużo materiału do rozważań. Czy może p. Standardton wspomniał od tego czasu kiedyś o wydarzeniu?

— Nigdy! — odparła May. — Od tego czasu zresztą widziałam go raz tylko, siedzącego na dachu omnibusu.

W kilka minut potem May odeszła.

Obfite to było źródło dla nasycenia wyobraźni Edyty.

— Cóż to może znaczyć? — myślała. Jaka w tem wszystkim tkwi tajemnica.

Przywodząc sobie na myśl bliższe okoliczności wspomniała, że tegoż wieczoru był Gilbert niezwykle roztargniony. Zauważyła nerwowe drżenie rąk, a nawet wspomniała matkę o dziwnej jego bezprzytomności.

Jeśli atoli oczekiwał przybycia muzyka i jeśli sam wybrał utwór, który miał grać, to czemuż tony te wywarły na nim tak straszliwe wrażenie? Nie był zgoła skłonny do komedjanctwa i w charakterze swym nie miał nic teatralnego.

15

Był muzykalny i nie kochał na świecie bardziej niczego, chyba, prócz jej samej.

Z pewną serdecznością uczyniła w myśli to ostatnie zastrzeżenie.

W onym czasie kochał ją bardzo. Obecnie uczucia jego mogły ulec zmianie, ale miłość człowieka silnego nie ulatnia się tak szybko i nie można jej unicestwić jednym słowem.

Od dnia ślubu nie otworzył swego fortepianu, podczas kiedy dawniej śledził pilnie każdą nowość muzyczną Londynu. Teraz nie uczęszczał wcale na koncerty, ani nie bywał w operze.

Wydało jej się, jakgdyby ów utwór melodii F. dur zniweczył w nim cały, niesłychanie cenny rozdział jego życia.

Raz zaproponowała, by poszli na koncert, który wprowadził w podniecenie cały muzyczny Londyn i zatłoczył olbrzymią salę.

— Idź sama, jeśli ci to sprawi przyjemność! — oświadczył stanowczo. — Dzisiaj, obawiam się, że będę zajęty interesami do dość późnej pory.

A był to ten sam człowiek, który ją nie raz, ale dziesiątki razy zapewniał, że muzyka przejawia mu uświadomienie i podniecie uczuć w nie równie jaśniejszej formie, niż każde, drukowane słowo.

Cóż to mogło oznaczać? Ogarnęło ją pragnienie dojmujące, przeniknięte niecierpliwą energią dowiedzenia się całej prawdy. Chciała osiąść większy udział w życiu męża. W jakimże stosunku stała ta melodia z nagłą, a niespodzianą zmianą, jaka w nim zaszła? Jakiż zachodził związek pomiędzy nią, a tem życiem bez wytchnienia, jakie wiódł w czasach ostatnich. Co miała wspólnego z porzuceniem posady w ministerstwie i wystąpieniem z klubu?

Miała bezwzględną pewność, że tego rodzaju związek istnieć musi i zadecydowała, iż go wykryje.

Dopóki błądziła wśród ciemności, dopomóc mu nie była w stanie, czując instynktownie, że wszelkie pytania byłyby daremne. Zaliczał się do ludzi, którzy nie pozwalają sobie zaglądać w karty.

Atoli z drugiej strony, jako żona czuła swój wobec niego obowiązek. Dużo wszakże nie-szczęścia wprowadziła w jego życie i miała przeświadczenie o niezbędnej konieczności pomocy. Ale dla tego celu konieczne były pieniądze.

Usiadłszy przy biurku, napisała do matki pokrótce, zawiadamiając ją, że przyjmie trzysta funtów, ofiarowanych przez maklera, posuwając się aż do wzmianki, iż osobiście odwiedzi Mr. Warrella i załatwi z nim sprawę definitywnie, o ileby matka w czasie najbliższym nie załatwiła tego sama.

W którymś z dzienników porannych wyczytała ogłoszenie pewnego, prywatnego biura detektywów i przez chwilę myślała o tem, by wziąć funkcjonariusza do swych usług. Ale jakież, specjalne zdolności mogli posiadać detektywi, w porównaniu z jej bystrością umysłu i sprytem?

Do tego niepotrzebne było specjalne wykształcenie.

Znalazła zadanie życia, mianowicie rozwiązanie tajemnicy, która, niby chmura, mgłą ot-

czała jej męża. Rozradowała ją wielce nadzieja doprowadzenia dzieła do zamierzonego celu.

— Powinnabyś sobie znaleźć jakieś zajęcie! — powiedział raz Gilbert, w sposób, jak zawsze, nader powściągliwy.

Uśmiechnięta, zadała sobie teraz pytanie, coby pomyślał, znając rodzaj zatrudnienia, jakie sobie teraz obrała.

---

Dom w Horton, służący na schronisko May i jej dziadka stał przy małej, czystej uliczce, w dzielnicy zamieszkałej głównie przez artystów i ich rodziny. Małe i proste mieszkanie, urządzone było z doskonałym gustem, a meble, stare zresztą posiadały wybitne cechy wartości i wykwintu.

Stary muzyk Wing siedział w fotelu, pod kominkiem, w izbie służącej jednocześnie za jadalnię i kuchnię. May zajęta była robótką ręczną.

— Drogie dziecko, — powiedział starzec swym miłym, łagodnym głosem — lepiej będzie, sądzę, jeśli nie wyjdiesz już dziś wieczór na miasto.



— Czemużto drogi dziadziu? — spytała dziewczyna, nie podnosząc oczu z nad roboty.

— Jest to z mej strony, zapewne samolubstwem, — powiedział — ale nie chciałbym zostać sam. Oczekuję gościa.

— Gościa?

Goście stanowili w domku Nr. 9, przy Paxton—Street w Hortonie taką rzadkość, że cała frekwencja ograniczała się do regularnych, nieuchronnych wizyt, każdego poniedziałku rano, składanych przez poborcę czynszu za mieszkanie.

— Tak jest... — rzekł dziadek z wahaniem — pamiętasz jeszcze, sędzę, pewnego pana, którego widziałas niedawno temu?

— Chyba nie pana Standertona?

Starzec potrząsnął głową.

— Nie idzie o pana Standertona, — powiedział — pamiętasz pewnie owego bardzo miłego pana, który ci po wyścigach w Epsom dopomógł wydostać się z tłoku niezmiernego?

— O tak, pamiętam! — odrzekła.

— Nazywa się Wallis! — oświadczył dziadek. — Spotkałem go dziś przypadkowo, podczas zakupów w mieście.

— Wallis? — powtórzyła.

Stary Wing milczał przez chwilę, potem zaś spytał:

— Czy, zdaniem twojem, drogie dziecko, przydałby się nam lokator?

— O nie, nie! — zaprotestowała May. — Broń Boże!

— Zważ, że o zdobycie czynszu za mieszkanie coraz to trudniej, — powiedział dziadek, potrząsając głową — a ten pan Wallis wydaje się człowiekiem spokojnym, który nie będzie nam prawdopodobnie wcale zawadzał.

Dziewczyna nie dała jeszcze za wygraną.

— Wolałabym, byśmy się obeszli bez lokatora! — odrzekła — możemy zarobić dostatecznie na opędzenie kosztów gospodarstwa bez tego rodzaju pomocy. Lokatorzy są zawsze przyczyną różnych nieprzyjemności. Wątpię także, czy będzie to miłe pani Gamage i czy się zgodzi.

Pani Gamage była to sąsiadka w starszym wieku, przychodząca każdego rana do pomocy w pracy domowej.

Spostrzegłszy atoli rozczarowanie na twarzy staruszka, podeszła doń May i rzekła, otaczając jego plecy ramieniem.

— Nie troszcz się, drogi, kochany dziadku? Chcesz mieć lokatora, będziesz go miał. Nawet lepiej, że ci sprawi pewną przyjemność posiadanie w domu kogoś do pogwarki, podczas nieobecności mojej.

W tej chwili zapukano do drzwi.

— To pewnie gość nasz? — dodała, idąc otworzyć. Rozpoznała zaraz stojącego pod drzwiami mężczyznę.

— Czy wolno wejść? — zapytał. — Chciałbym pomówić w pewnym interesie z dziadkiem pani. Przypuszczam, że mam przed sobą pannę Wing?

Skinęła głową, dodając — proszę wejść!

Wprowadziła go do kuchni.

— Nie będę długo przeszkadzał! rzekł p. Wallis. — Nie dziękuję, nie usiądę. Radbym znaleźć spokojne mieszkanie dla przyjaciela mego. Jest to człowiek, którego cenię wielce, spokojny, trzeźwy, zaś w domu niema go przez cały nieraz dzień, a nawet przez część nocy! —

Uśmiechnął się. — Jest on... — urwał na chwilę — jest szoferem automobilowym, mówiąć ściśle. Ale woli, by tego faktu nie rozgłaszać, gdyż miał lepsze czasy... ot co jest!

— Jeden tylko mały pokoik odstąpić możemy pańskiemu przyjacielowi! — odparła May. — Może zechce go pan obejrzyć.

Zaprowadziła go do szczupłej sypialki, używanej tylko na pomieszczenie rzadkich gości. Pokoik był ładny, czysty, a Wallis skinął głową z uznaniem.

— Szkoda, że nie mogę go zachować dla siebie! — oświadczył.

Sam zaproponował cenę wyższą, niż zażądała i uparł się zapłacić za miesiąc z góry.

— Powiedziałem przyjacielowi, by przybył! — dodał. — Powinien tu być lada chwila i jeśli pani nie ma nic przeciw temu, zaczekam.

Nie potrzebował czekać długo, gdyż w kilka minut później zjawił się nowy lokator. Był to człowiek otyły, z krótką, gęstą, przystrzyżoną brodą. Okoliczność, że się odznaczał małownością i z trudem wiązał słowa, zalecała go nawet właściwie jako lokatora.

Wallis pożegnał starego muzyka i wnuczkę jego i ruszył razem z przybyłym, który podał, że się nazywa Smith, co było dość bezbarwne, do końca ulicy.

Miał mu powiedzieć coś ważnego.

— Wynająłem dla ciebie to mieszkanie, Smithy, — podczas gdy kroczyli zwolna w kierunku Horston-High-Street — bowiem jest pewne i spokojne. Są to ludzie szanowani i nikt nie będzie ci przeszkadzał.

— Nie zostanę tu wystawiony na napaści, nieprawdaż? — rzekł człowiek nazwany Smithem.

— Na razie nie! — odrzekł Wallis. — Ale nie wiem, jaki będzie dalszy rozwój wydarzeń. Troszczę się bardzo.

— Czemże się troszczysz?

Jerzy Wallis roześmiał się trochę bezradnie.

— Nie stawiaj tak głupich pytań! — powiedział z dobrotliwą przyganą. — Czyż nie uświadamiasz sobie, że ktoś odkrył manipulacje nasze. Tak się... stało, niestety.

— Dlaczegoż tedy nie zaprzestajemy ich? — spytał Smith spokojnie.

— Jakże możemy zaprzestać? Drogi przyjacielu, zebraliśmy wprawdzie w ciągu roku zapas własności ruchomej, którego wartość pozwoliłaby na wycofanie się z interesów. Ale żaden z nas nie ma w tej chwili ochoty zrywać i potrwa jeszcze znowu około dwunastu miesięcy, zanim zdołamy spieniężyć i podzielić zdobycz! — dodał w zamyśleniu.

— Nie wiem nawet dokładnie gdzie jest? — zauważył Smith z lekkim uśmiechem.

— Tego nie wie nikt, prócz mnie! — odrzekł Wallis, marszcząc zlekka brwi. — I to właśnie stanowi największą troskę moją. Czuję na sobie brzemień całej odpowiedzialności. Wiesz Smithy, że jesteśmy rzeczywiście pod nadzorem.

Smith uśmiechnął się.

— Czyż to coś nadzwyczajnego? — powiedział.

Ale Wallis zachował powagę.

— Kogóż to podejrzewasz? — spytał, a Wallis nie dał zaraz odpowiedzi.

— Nie mam wcale podejrzewania — rzekł w chwili — ale wiem na pewno! — Gdy przed

paru miesiącami, wraz z Callim załatwiali rzecz jedną, w Hatton Garden, przerwało nam robotę zjawienie się jakiegoś tajemniczego dżentlemana, który spostrzegłszy, w jaki sposób otwieram kasę, znikł potem zaraz. Wówczas nie здаwał się nastrojonym wrogo przeciw nam, ani też nie miał na oku określonego celu. Ale teraz, z niewiadomego powodu, który zna sam chyba najlepiej, działa przeciw nam. Tego to właśnie człowieka musimy wykryć za wszelką cenę.

— W jakim sposobie?

— Możliwy — odparł Wallis drwiąco — ogłosić w którymś dzienniku... Uprasza się tego pana, który jest na tropie Jerzego Wallisa, by łaskawie ujawnił osobistość swoją, a z tą chwilą ustanie całe przedsięwzięcie.

— Mówże na koniec serjo! — rzekł Smith.

— Musimy koniecznie wybadać kto to jest. Istnieje chyba możliwość zwabienia go w pułapkę. To jednak jedyne co możemy uczynić narazie, dla mego własnego choćby bezpieczeństwa jest zwołać was wszystkich i podzielić łup. Umówmy się tedy.

Smith skinął potakująco głową.

— Kiedy?

— Dziś wieczór... — rzekł Wallis — ...spotkamy się w...

Wymienił jedną z restauracji, w pobliżu Regent Street.

Przedziwnym zbiegiem okoliczności, czy też skutkiem rozmyślnego wyrachowania, w restauracji tej spożywał Gilbert Standerton z reguły wieczorny posiłek, o ile nie był w domu.

## II.

### NASZYJNIK.

Pani Cathcart zdziwiła się wielce, otrzymawszy zaproszenie na obiad do domu córki i zięcia. Posłała tegoż rana Edycie czek na trzysta funtów, otrzymany od maklera. Sprawa ta jednak nie mogła być ze sobą w związku, gdyż listy minęły się w drodze.

Nie wiedziała dobrze zrazu, czy przyjąć zaproszenie. Rozmyślała, czy nie lepiejby było zachować dotychczasowy stosunek z Gilbertem.

W każdym jednak razie, mimo swych wad była dobrą strategiczką. Odrzucenie nie mogło



przynieść żadnych korzyści, a z przyjęcia dało się coś może wyciągnąć.

Zdumiało ją też, że zastała tam Mr. Warrella, była zdziwiona i potrosze zmieszana. Ale teraz, kiedy córka jej wiedziała już wszystko, nie istniał właściwie powód, by miała się czuć nieswojo.

Swoim zwyczajem opanowała go od pierwszej zaraz chwili po powitaniu w małym saloniku przy St. Johns Wood.

Był to nader miły obiadek. Gilbert okazał się niezrównanym gospodarzem, a dawna wesołość i pogoda odżyły w nim poniekąd. Pamiętając o tem co mu powiedziała pani Cathcart, dawał Warrell pilne baczenie, czy nie odkryje jakichś oznak rozdźwięku pomiędzy mężem i żoną, że zaś był przedewszystkiem człowiekiem interesu, tem usilniej może jeszcze badał, by znaleźć potwierdzenie wzmianek pani Cathcart odnośnie do tego, iż stosunki domowe Gilberta nie były w porządku.

Leslie Frankfort, który brał także udział w przyjęciu, został wzięty na spytki przez swego starszego współnika, który atoli nie mógł

zeń wyciągnąć żadnej wiadomości, zdolnej rozprószyć wątpliwości w duszy Mr. Warrella.

Leslie Frankfort, młody, wesoły światowiec, nie wiedział o tem nic a nic, podobnie jak jego towarzyszy. Doznał wszakże pewnego uspokojenia, wymiarkowawszy, iż przynajmniej gospodarstwu domowemu przyjaciela nie zagraża bezpośrednia ruina.

Obiad miał przebieg doskonały, jedzenie było świetne, jakby przysposobione przez epikurejczyka, co istotnie miało miejsce, gdyż Gilbert pomógł żonie w ułożeniu menu.

Rozmawiano o sprawach ogólnych, powierchownie, jak zawsze w ciągu tego rodzaju przyjęć towarzyskich. Tematy były dokładnie te same, jakie poruszają damy i mężczyźni u tysięcy innych stołów obiednych w całej Anglii. Zgoła bezwiednie zaczęto mówić o całym szeregu wstrząsających opinia włamań, jakie popełniono w czasach ostatnich, w Londynie. Było rzeczą oczywistą, że rozmowa potoczy się tą koleją, tembardziej, że sama pani Cathcart, z wielką śmiałością podjęła kwestję włamania do kasy firmy Warrella.

— Nie nie, — rzekł Mr. Warrell, potrząsając głową — muszę powiedzieć niestety, że nie posiadamy dotąd żadnej poszlaki. Wprawdzie policja wzięła sprawę w ręce, ale obawiam się, że nie schwytemy nigdy człowieka, czy ludzi, którzy dokonali zbrodni.

— Przypuszczam, że nie byłoby to panu wcale na rękę, gdyby ich schwymano! — powiedział Gilbert spokojnie.

— Nie wiem, doprawdy — odparł Warrell — ale możnaby w takim razie, sądzę, odzyskać klejnoty.

Gilbert Standerton roześmiał się, ale urwał zaraz, pytając.

— Klejnoty?

— Wszakże musisz pamiętać Gilbercie, — wmieszał się Leslie — mówiłem ci, że mieliśmy w trezorze naszyjnik, będący własnością klientki, jednej z owych, spekulujących, które nas zaszczycają powierzeniem interesów swoich.

Ostrzegawcze spojrzenie kompanjona zamknęło mu usta, zaś spekulująca dama błysnęła ze złością oczyma na niedyskretnego młodzieńca.

— Naszyjnik był mój! — rzuciła ostro.

— Oo! — powiedział Leslie przeciągle i cała ta rozmowa utraciła dlań wszelkie zainteresowanie. Gilbert się uśmiechnął, widząc kłopot przyjaciela.

— Naszyjnik? — powtórzył — własność pani? To dziwne...

— Tak, mój naszyjnik! — potwierdziła. — Złożyłam dla bezpieczeństwa w firmie Mr. Warrella. I oto okazało się, jakiego rodzaju było to bezpieczeństwo.

Mr. Warrell jął się usprawiedliwiać na wszelkie możliwe sposoby. Sprawa była dlań bardzo przykrą z rozmaitych powodów. Zawrzał gniewem wielkim na niedyskretnego młodzieńca, który swe uprzywiljowane stanowisko we firmie zawdzięczał raczej udziałowi akcyjnemu swego zmarłego ojca, niż jakimkolwiek sprytowi, czy działalności osobistej.

— Jakiegoż to rodzaju był naszyjnik? — spytał Gilbert. — Nie czytałem nigdzie opisu.

— Opis nie został opublikowany! — rzekł Mr. Warrell, spiesząc z pomocą klientce, która, jak to widział z oznak niewątpliwych bliską

była utracenia panowania nad sobą. — Chcieliśmy, by rzecz została między nami i by jej nie pochwyciły dzienniki.

Z wielkim taktem nadała Edyta inny tok rozmowie i po kilku minutach zaczęto zapalczywie dysputować w kwestji, która nigdy nie chybi w wywołaniu wielkiego zainteresowania. Podjęto wzniosły problem religji.

Przy tej sposobności należy zaznaczyć, że pani Cathcart odgrywała rolę przywódczyni w pewnych kołach i była zdecydowaną zwolenniczką Kościoła oficjalnego. Jeśli dodamy, że Mr. Warrell wyznawał poglądy liberalniejsze, a Leslie był jawnym wolnomyślicielem, to łatwo zrozumieć, że były tu wszystkie elementy nader gorącego sporu, który w sferze mniej kulturalnych ludzi mógł przybrać nader ostre formy.

Chociaż droga wyjścia, obrana przez Edytę była wielce drastyczna, młoda kobieta doznała wielkiej ulgi, gotowa raczej pozbawić praw państwowości Kościół....., lub w razie potrzeby, nawet sam Kościół anglikański, niżby stawiano pod pręgierz zły czyn matki.

Mimo nieugiętego stanowiska pani Cathcart, wojowniczych występów Lesliego i dobrodusznej tolerancji Mr. Warrella, którego zapartywania były nader trudne do zwalczania, obiad miał do końca przebieg miły, potem zaś udali się goście do małego saloniku na piętrze.

— Niestety, muszę kochanych państwa opuścić! — powiedział Gilbert,

Dochodziła dziesiąta, a on naprzód już zawiadomił żonę, że o tej porze właśnie ma coś do załatwienia.

— Zdaje się, drogi przyjacielu, — rzucił Leslie — żeś pan przystał do cechu dziennikarzy! Przed kilku dniami widziałem cię wieczór w Fleet-Street.

— Nie byłem tam! — odparł Gilbert krótko.

— Musiał to być zatem sobowtór! — rzekł Leslie.

Edyta nie poszła na górę wraz z towarzystwem. Tuż przed przyjęciem poprosił ją Gilbert z pewnem wahaniem, by mu przyrzadziła pakiet zakąsek.

— Możliwe jest, — powiedział — że znaczną część nocy spędzę poza domem. Pewien

człowiek ma mnie zawieźć autem do Brightonu, gdzie mam spotkanie z kimś.

— Czy przez całą noc będziesz nieobecny? — zapytała z pewnem zaniepokojeniem.

Zaprzeczył gestem głowy.

— Nie, wrócę około czwartej.

Pomyślała w duchu, że jest to zgoła dziwna pora spotykania się z ludźmi, ale nie uczyniła żadnej uwagi.

Gdy małe towarzystwo udało się na górę, przypomniała sobie o zakąskach i poszła do kuchni zobaczyć, czy kucharka przyrządziła je należycie.

Zawinęła to potem w papier i wsunawszy do płaskiej puszkę wycieczkowej, wróciła na kurytarz.

Płaszcz Gilberta wisiał na wieszadle. — W chwili, gdy wkładała puszkę w kieszeń, przeszkodził jej dziennik. Wyjąwszy go, uczuła pod palcami coś ślizkiego, luźnego.

Uśmiechnięta z powodu niedbalstwa męża, wsadziła w kieszeń rękę, chcąc usunąć przedmiot.

Twarz jej przybrała wyraz napięcia.

— Cóż to było?

Palce objęły bezwiednie przedmiot spoczywający na dnie kieszeni i dobyły go.

Miała na dłoni, oświetlony jasno elektryczną lampą sufitową lśniący naszyjnik z djamentów

Przez chwilę czuła, że mały kurytarzyk tańczy jej pod stopami, ale zaraz opanowała się.

— To był jej naszyjnik.

Nie ulegało żadnej wątpliwości. Obracała go w rękach drżących.

W jakiż sposób posiadał go? Skąd wziął?

Błysła jej w głowie myśl zbyt straszna, by ją mogła śledzić do końca.

Gilbert włamywaczem? To głupstwo oczywiste! Spróbowała uśmiechnąć się bezskutecznie. Każdej niemal nocy wychodził z domu. Był nawet nieobecny przez wszystkie noce tygodnia, w którym dokonano kradzieży.

Posłyszawszy kroki na schodach, wetknęła naszyjnik w wycięcie sukni.

Był to Gilbert. Nie zauważył wyrazu jej twarzy.

— Gilbertcie! — zawołała, a na ton jej głosu nastawił uszy.



Potem obrócony ku niej, ogarnawszy ją spojrzeniem, spytał.

— Co ci się stało?

— Chodź ze mną na chwilę do jadalni! — powiedziała, a głos własny dochodził ją, jakby zdala, przytem były to niejako słowa osoby innej.

Otworzył drzwi jadalni i weszli. Na stole widniały jeszcze resztki skończonego właśnie obiadu, a różowawy blask sufitowej lampy oświecał powabny nieład kwiatów, srebra i szkła.

Zamknął za sobą.

— Cóż się stało? — spytał.

— To! — odrzekła spokojnie, dobywając z za gorsu naszyjnik.

Spojrzał na klejnoty, a żaden mięsień twarzy jego nie drgnął nawet.

— To? — powiedział. — A cóż to jest?

— Mój naszyjnik!

— Twój naszyjnik? — powtórzył głucho. — Czy jest to może naszyjnik, który utraciła matka twoja?

Nie mając sił, by mówić, skinęła tylko głową.

— To niezmiernie dziwne! — powiedział, wyciągnął dłoń i jął oglądać brylantową agrałę.

— To jest twój naszyjnik? — rzekł. — Cóż za dziwny zbieg okoliczności!

— Skąd go wzięłeś? — spytała.

Nie dając odpowiedzi, patrzył na nią tępych wzrokiem, w którym wyczytać nie mogła ani rozmysłu, ani żadnego dobrego znaku.

— Skąd go wziąłem? — powtórzył spokojnie. — A któż ci powiedział, że go wogóle wziął?

— Znalazłam w twojej kieszeni! — powiedziała, dysząc ciężko. — O, Gilbercie, niema celu zapierać się, że tam był i że wiedziałeś o nim. Mów, skąd go wzięłeś?

Po dłuższej pauzie, powiedział.

— Znalazłem.

Brzmiało to niezręcznie i uświadamiał sobie ten fakt dobrze.

Powtórzyła pytanie.

— Nie mogę ci tego dziś powiedzieć! — odparł swobodnie. — Sądzisz pewnie, że skra-

dłem te klejnoty? Wyobrażasz sobie niezawodnie, że jestem włamywaczem?

Mimo uśmiechu, usta jego ściągnięte miały wyraz twardy.

— Czytam to w oczach twoich! — ciągnął dalej. — Tłumaczysz sobie moją częstą nieobecność w domu i wystąpienie z urzędu tem, że jałem się zawodu bardziej lukratywnego?

Roześmiał się w głos.

— Tak uczyniłem istotnie! — dodał. — Ale nie jest to zawód włamywacza. Zaręczam ci — tu głos jego nabrał szyderczej powagi, — że nigdy, w całym życiu nie rozbiłem kasy. Daję także słowo honoru, iż nie ukradłem nigdy najdrobniejszego nawet przedmiotu.

Urwał nagle, może by nie powiedział zbyt wiele. Ona zaś pochwyciła chciwie tę nikłą słomkę, jaką jej podał.

— Czy tak? Czy naprawdę? — rzekła porywczo, kładąc mu dłoń na piersi. — Czy tak jest istotnie? O, wiem dobrze, iż jestem głupia, szalona, niesprawiedliwa, ordynarna... wszystko, co chcesz! Jakże mogłam powziąć owo straszne podejrzenie względem ciebie? Ale

przyznaj, mogło się tak wydawać? Nieprawdaż? Mogło?

— Istotnie, mogło się tak wydawać! — potwierdził z powagą.

— Powiedzże mi, w jaki sposób wszedłeś w posiadanie tych klejnotów! — nalegała.

— Powtarzam, znalazłem je i to jest prawdą zupełną. Nie miałem zamiaru... — urwał znowu. — Znalazłem to poprostu na ziemi.

— Czyż nie byłeś niezmiernie zdziwiony i czy nie doniosłeś zaraz policji?

Potrząsnął głową.

— Nie! — powiedział. — Nie byłem zdziwiony i nie doniosłem policji. Miałem zamiar zwrócić to, bowiem klejnoty nie mają dla mnie ostatecznie wartości.

— Nie rozumiem cię dobrze Gilbercie — powiedziała z pewnym smutkiem. — Czyż wartość ma dla nas tylko to co posiadamy?

— Zależy od okoliczności — odrzekł swobodnie. — W tym atoli specjalnym przypadku, mogę ci zareczyć, że przyniosłem ten naszyjnik dziś wieczór do domu, z zamiarem włożenia go w małą puszkę i posłania do prezydium policji.

Wierz, czy nie. Toteż z tego powodu zdziwiłem się wielce w czasie obiadu, gdyście mówili o stracie naszyjnika matki twojej, podczas gdy ja właśnie znalazłem naszyjnik.

Patrzyli na siebie, a Gilbert trzymał klejnoty na dłoni, jakby ważąc i potrząsał nimi mechanicznie.

— Cóż teraz z tem począć? — spytała bezradnie. — Nie widzę wyjścia. Może najlepiej będzie, jeśli trzymając się pierwszego zamiaru, odeślesz to policji? — dodała z wahaniem. — O, — przypomniała sobie nagle z pewną niechęcią — przywłaszczyłam sobie niesłusznie trzysta funtów.

— Trzysta funtów?

Obejrzał ponownie klejnoty.

— To warte dużo więcej, niż trzysta funtów!

W kilku słowach opowiedziała mu, w jaki sposób naszyjnik zginął i dlaczego znalazł się w trezorze Warrella jako zastaw.

— Cieszę się, słysząc, że winę ponosi matka, nie zaś ty sama. Miałem obawę, że wdałaś się w spekulacje giełdowe.

— Czyby ci to było nieprzyjemne? — spytała żywo.

— Tak, potrosze, — odparł — dość, gdy jedna część rodziny spekuluje.

— Czy ty spekulujesz na wielką skalę, Gilbertcie? — spytała z powagą.

— Potrosze! — odrzekł.

— Nie potrosze! — poprawiła. — Interesy giełdowe, to spekulacja.

— Staram się zyskać pieniądze dla ciebie! — rzekł szorstko.

Były to słowa najtwardsze, jakie wyrzekł przez czas krótki ich małżeństwa i spostrzegł, iż ją zraniły boleśnie.

— Przebacz, — powiedział łagodnie — wiem, że było to brutalne, ale nie miałem zamiaru obrażać cię. Oburzyłem się tylko w duchu własnym na niesprawiedliwość losu. Czy chcesz wziąć ten naszyjnik, czy ja mam go przechować?

— Wezmę go! — przystała. — Ale czyby nie donieść policji, gdzieś to znalazł? Leży tam może w pobliżu więcej jeszcze łupów z innych rozbojów.

— Nie jestem tego zdania! — odparł z lekkim uśmiechem. — Nie mam zgoła ochoty sprowadzić sobie na kark wściekłości osławionej bandy opryszków. Wiem i tak doskonale, że zalicza się do najniebezpieczniejszych i najbezwzględniejszych, jakie istnieją w świecie. Ale już dochodzi pół do jedenastej — dodał, muszę jechać niezwłocznie.

Podał jej rękę, ona zaś przyjęła ją, trzymając nawet dłużej w swej dłoni, niż to było jej zwyczajem.

— Bądź zdrow! — powiedziała. — Bez względu na rodzaj twego zawodu, niech ci sprzyja szczęście.

— Dziękuję ci! — odparł.

Wróciła powoli do gości, nie orientując się lepiej w sytuacji. Wierzyła mężowi, atoli w tem co mówił tkwiła jakaś rezerwa, która na równi z ostrożnie odważanemi słowami świadczyła wyraźnie, że mógłby być, gdyby tylko zechciał, powiedzieć znacznie więcej.

Nie wątpiąc w słowo jego, że nigdy niczego nie ukradł, tembardziej silnie postanowiła jeszcze rozwiązać zagadkę i po odejściu gości,

zajęła się gorliwym pisaniem listów. Zaledwo, o późnej porze legła na spoczynek, posłyszała kroki na schodach. Jęła nadśluchiwać z napięciem.

Mijając jej drzwi, zapukał zlekka, mówiąc:

— Dobranoc!

— Dobranoc! — odrzekła.

Słyszała, jak zamyka zcicha drzwi swego pokoju i przeczekawszy około pół godziny, wynioskowała z trzasku tastra elektrycznego, że zgasił światło i legł spać.

Wówczas wysliznęła się cicho z łóżka, zarzuciła peniuar i zeszła powoli do kurytarza dolnego, przypuszczając, że wisi tam jego płaszcz.

Powzięła myśl fantastyczną i dziką zgoła, że w płaszczu tym znajdzie może jakieś dalsze poszlaki, mogące jej posłużyć w przedsięwziętem poszukiwaniu prawdy. Ale kieszenie były puste.

Uczuła coś mokrego na rękawie i wywnioskowała stąd, że deszcz pada. Potem wróciła do swej sypialni, otworzyła bez szelestu drzwi i podszedłszy do okna, wyjrzała w ulicę. Ra-



nek był pogodny, a ulice suche. Spojrzała na dłonie swoje. Były pokryte krwią!

Zbiegła ponownie schodami i zakręciła światło w kurytarzu.

Na rękawie płaszcza i na chodniku schodów, hen aż w górę, widniały wyraźnie małe krople krwi. Bez namysłu pobiegła do jego drzwi i zapukała.

Odpowiedział zaraz.

— Kto tam?

— To ja, chcę z tobą pomówić!

— Jestem trochę zmęczony! — oświadczył.

— Wpuść mnie, proszę! Muszę koniecznie widzieć się z tobą!

Spróbowała naciskać klamkę, ale drzwi były zaryglowane z zewnątrz. Po chwili łóżko zatrzeszczało, rozebrzmiały kroki, odsunięto rygiel, a przez szybę ponad drzwiami błysło światło.

Zauważyła, że był niemal ubrany.

— Co ci się stało w ramię? — spytała.

Było troskliwie obandażowane.

— Lekkie skaleczenie! — powiedział. —

Rzecz bez znaczenia.

— Skądże się to wzięło? — zapytała z niecierpliwością.

Opadała niemal z sił. Radaby usłyszeć choć by o zderzeniu automobilów, czy innym wypadku ulicznym, na jakie narażeni bywają mieszkańcy wielkich miast. Ale Gilbert nie dał żadnego objaśnienia.

Poprosiła, by jej pokazał ranę. Wzbraniał się, ale ona nastawała. W końcu rozwinął bandaż i pokazał brzydką małą, otwartą ranę na przedramieniu. Miała brzegi szarpane i nie dość gładkie, jak na skaleczenie nożem, lub odłamkiem szkła.

Odnalazła drugą jeszcze ranę wielkości półzłotówki, tuż przy łokciu.

— Wygląda to na ranę postrzałową! — opiniowała. — Kula prześliznęła się wzdłuż mięśni ramienia i wyszła w okolicy łokcia.

Nie rzekł nic.

Przyniosła z łazienki ciepłej wody, obmyła ramię, potem zaś przyłożywszy chłodzącą maść, zbandażowała jak się dało.

Nie wróciła już do pytań, w jaki sposób poniósł owo skaleczenie. Nie był to czas, niemiejsce odpowiednie.

— Zmarnowała się w twej osobie świetna pielęgniarzka! — zauważył, gdy skończyła.

— A w twej osobie zmarnował się świetny człowiek — odparła — i mam wrażenie właśnie z mojej winy.

— Proszę cię, wybij sobie te myśli z głowy! — powiedział szorstko niemal. — Mężczyzna jest tem, co ze siebie zrobi. Znasz, chyba przysłowie: ...Jeśli dwaj ludzie razem czynią coś złego, pokutować za to musi każdy z osobna... Tedy, choćbyś nawet wywarła na moje życie wpływ niekorzystny, ja ostatecznie ponoszę za to odpowiedzialność.

— Nie jestem o tem w pełni przekonana! — rzekła.

Zrobiła mu lekki temblak, w którym mogło spoczywać wygodnie zranione ramię.

— Poślubiłeś mnie z miłości, dając wszystko, coby każda, normalnie czująca kobieta uznać musiała za cenne i święte. Ja zaś nie odpląciłam ci niczem. Od samego zaraz początku upokorzyłam cię, mówiąc, dlaczego wyszłam za ciebie. Masz tylko tę, wątpliwą satysfakcję, że noszę twoje nazwisko. Nieustannie

żywisz niejaką urazę, żyjąc obok kobiety, która patrzy ciągle na twe czyny i zamiary w sposób krytyczny. Czyż nie ponoszę za to odpowiedzialności?

Nastała długa cisza, potem zaś powiedziała ona.

— Uczynię wszystko, czego byś zażądał odemnie.

— Pragnę tego tylko, byś była szczęśliwą! — odrzekł.

Głos jego miał znowu to metaliczne, twarde brzmienie, jakie słyszała już nieraz przedtem.

Zarumieniała się zlekka. Wyrzeczone słowa kosztowały ją dużo, on zaś odrzucił je. I miał słuszność, musiała przyznać w duchu.

Opuściła go i spotkali się dopiero przy śniadaniu porannem. Zamieniwszy kilka słów powitania, skierowali uwagę na dzienniki. Edyta czytała swój w milczeniu, powtarzając czasem którąś ze szpałt, budzącą w niej większe zainteresowanie. Potem złożyłwszy pismo na stole, powiedziała, nie podnosząc oczu.

— Dowiaduję się właśnie, że włamywacze

nasi splądrowali wczoraj w nocy Bank Północno-Prowincjonalny.

— Czytałem to również! — odrzekł — także nie podnosząc oczu.

— Jeden z nich został postrzelony przez uzbrojonego strażnika banku.

— I o tem czytałem! — rzekł Gilbert.

— Postrzelony! — powtórzyła, spoglądając na jego zbandażowane ramię.

Skinał głową.

— Dziennik mój zda się jest świeższem, niż twój wydaniem! — rzekł tonem uprzejmym. — Postrzelony zmarł skutkiem odniesionej rany. Zwłoki jego znaleziono w dorożce samochodowej. Nie podano tu jego nazwiska, ale wiem, ... przypadkowo, że był to nader miły, okazały człowiek, nazwiskiem Persh. Biedaczysko — zakończył w zadumie. — Było to coś w rodzaju poetycznej sprawiedliwości.

— Jakto? — spytała.

— Ma to właśnie na sumieniu! — powiedział Gilbert, wskazując z gniewnym uśmiechem ramię swoje.

## III.

## CZWARTY CZŁOWIEK.

Tego samego wieczoru, kiedy miało miejsce małe przyjęcie u Standertonów, czarnobrody szofer, który swego czasu zjawił się w domu tuż obok Charing-Croas-Street, podjechał znowu pod bramę domu Nr. 43, gdzie go, zgodnie z rozkazem, obserwował detektyw dyżurny. Wszedł do domu, zjawił się po pięciu minutach z powrotem, wsiadł i odjechał bez pasażera.

W dziesięć minut potem, na skutek meldunku detektywa, złożyli w tymże domu wizytę trzech komisarzy kryminalni ze Scotland Yardu i oto wyjaśnioną została raz na zawsze zagadka tajemniczego szofera.

Bowiem, miast Jerzego Wallisa, zastali w jednym z pokoi pierwszego piętra, tegoż samego szofera z czarną brodą, czytającego z całym spokojem ducha jakiś romans.

— Rzecz bardzo prosta! — objaśnił inspektor Goldberg. — Szofer przychodzi na górę, gdzie go oczekuje Jerzy Wallis, ucharakteryzowany na niego dokładnie. W chwili, gdy drzwi

zamknął za sobą, wychodzi Wallis, wsiada w auto i odjeżdża. Wy zaś na posterunkach sądziliście, że jest to ten sam szofer.

Spojrzał na więźnia.

— Co pan zamierzasz ze mną uczynić? — spytał brodacz.

— Obawiam się, że nic uczynić nie zdołam! — przyznał Goldberg z żalem. — Czy posiadasz pan patent szoferski?

— Oczywiście, oczywiście! — wykrzyknął wesoło brodacz i pokazał dokument.

— Mogę pana uwięzić, bowiem pomagasz zbrodniarzom.

— Zarzut ten będzie bardzo trudno uzasadnić, a trudniej jeszcze znacznie uzyskać wyrok. Pozatem, pozbawisz się pan przez to, jak sądzę, możliwości ujęcia wreszcie Jerzego Wallisa.

— To prawda! — przyznał Goldberg. — W każdym razie odnajdę pańskie auto i wsadzę przynajmniej do dziury Wallisa, który szofuje, nie posiadając patentu.

Brodacz potrząsnął głową.

— Przykro mi, ale muszę pana rozczarować! — powiedział z drwiącem pożałowaniem. Jerzy Wallis posiada także patent szoferki.

— Do kroćset djabłów! — zawołał oślepiały inspektor.

— Komiczne... nieprawdaż? — zauważył brodac. — O tak. Jerzy jest strasznie przebiegły.

— Dajże pan pokój, panie Smith! — powiedział inspektor życzliwie. — Cóż to za dziwna gra? Co pan masz z tem wspólnego?

— Z czem? — zapytał brodac, zdumiony wielce.

Goldberg stracił nadzieję wydobycia czegoś z niego. Wiedział, że Wallis bardzo starannie dobiera pomocników swoich.

— W każdym razie udam się w ślad za Wallisem! — powiedział. — Pan kpisz sobie wyraźnie, pokazując mi ten swój patent. Gdy go raz będę miał pod kluczem, odkryję zapewne sporo drobnych rzeczy.

— Uczyni pan to, inspektorze! — powiedział szofer z powagą. — Znajdziesz go pan na



placu postoju automobilów, przy Haymarket dziś wieczór, o pół jedenastej.

— Wiem o tem! — warknął detektyw ze złością.

Nie miał rozkazu aresztowania, ani też innego zlecenia, prócz pozwolenia przetrząśnięcia mieszkania, które mu pozwalało wkroczyć do domu.

Puszczono wolno szofera Smitha, by mógł zająć się swemi sprawami, dodając mu tylko detektywa-obszawatora.

Jaki miało skutek to obserwowanie, pokażało się dowodnie. Gdy inspektor Goldberg przybył punktualnie o pół do jedenastej na Haymarket, zastał ku wielkiemu zdumieniu swemu poszukiwane auto dokładnie w punkcie wskazanym przez Smitha. W środku siedział brodac z miną świadczącą wyraźnie, że z pełnem zadowoleniem oczekuje zakończenia dnia gorliwej pracy i poważnych zysków.

— Panie Jerzy! — ozwał się inspektor żartobliwym tonem. — Zejdź pan łaskawie z siedzenia i pozwól rzucić spojrzenie w pański pa-

tent szoferski. Jeśli nie opiewa na pańskie nazwisko, będę zmuszony aresztować pana.

Zagadnięty nie podniósł się wcale, a wsadzwszy rękę w kieszeń, dobył małe etui skórzane.

Inspektor otwarł je i przeczytał.

— Ach! — powiedział triumfująco. — Byłem pewny! Patent opiewa na nazwisko Smitha.

— Jestem przecież Smith! — oświadczył szofer spokojnie.

— Wyjdź pan zaraz! — rozkazał inspektor.

Brodacz uczynił to posłusznie. Identyczność jego nie budziła najmniejszej wątpliwości.

— Otóż, — objaśnił Smith — gdy pan puścił za mną swych, koślawonogich szybkobiegaczy, postanowiłem nie narażać na przykrość Jerzego. Jest on na tyle mężczyzną, że potrafi sam dbać o siebie. A zresztą, nawiasem mówiąc, posiada patent, opiewający na własne nazwisko. Przeto szkoda dalszego trudu pańskiego, panie inspektorze. Zauważywszy przytem, — dodał, jakby z wyrzutem — że mi pan nie dowierzasz, doznałem uczucia niejakięj obrazy. Umknąwszy w Oxford-Street, pańskie-

mu, gorliwemu gończakowi, przybyłem tutaj i odebrałem swój wóz owemu zbrodniarzowi, którego pan ścigasz.

— Gdzie jest teraz Wallis? — spytał Goldberg.

— W mieszkaniu swoim, a ze względu na późną porę, prawdopodobnie już w łóżku! — objaśnił brodacz z całą gotowością.

Inspektor musiał na tem poprzestać. Dla wszelkiej jednak pewności, udał się z powrotem do domu, w pobliżu Charing-Cross-Street i zastał, jak się obawiał, Jerzego Wallisa jeszcze nie w łóżku wprawdzie, ale w piżamie nocnej, a jedwabne spodnie opadały mu na wielkie, wełniane pantofle.

— Drogi, czcigodny przyjacielu! — powitał go z góry. — Czyliż nigdy nie zostawisz mnie pan w spokoju? Czyż nieszczęsna opinja, jaką niesłusznie posiadam będzie mnie ciągle prześladować, mimo, że się wszelkimi siłami staram wieść w pokorze żywot uczciwy, nienaganny, jakiego wymaga państwo od obywateli?

— Porzuć pan te górnołotne frazesy! — burknął inspektor. — Przez cały wieczór uga-

niam za panem bez tchu. Gdzież pan byłeś właściwie?

— Byłem w kinie! — odparł Wallis z całą swobodą. — Z wielkiem współczuciem obserwowałem tam walkę uczciwego urzędnika bankowego o rękę córki bogatego, a szubrawego pryncypała. Widziałem także strzelających z pistoletów cowboyów, oraz galopujących szaleńczo po równi policjantów. Słowem przeżyłem rzeczywiście cały szereg wrażeń, jakie dobre kino budzi w człowieku.

— Pape pan za dużo! — rzekł inspektor.

Nie chcąc marnować dalej napróżno czasu pożegnał Wallisa, który tłumił ziewanie, widocznie rozespany. Ale skoro tylko drzwi zapadły za inspektorem, odrzucił pidżamę, spodnie i pantofle i w ciągu kilku sekund był zupełnie ubrany. Przez okno od strony ulicy obserwował małą grupkę policjantów, omawiających sprawę, kroczących powoli, niedbale do zakrętu przeciwnego. Tam raz jeszcze stoczyli rozhovor. Wiedział, że zaraz jeden z nich zostanie, by go pilnować. Ale zanim się rozeszli,

opuścił dom i ruszył co sił w nogach w stronę przeciwną.

Celem wprowadzenia w błąd obserwatora nie zgasił światła. Było to nawet potrzebne z uwagi na konieczność powrotu w sposób niepostrzeżony. Szybkim krokiem zbliżył się do stacji kolei podziemnej i po kilku, trafnie obmyślonych przesiadywaniach, dotarł w kwadrans potem w okolice Hampsteadu. Pieszko doszedł do parku Belsize, gdzie złapał dorożkę automobilową. Przedtem jeszcze, na jednej ze stacji kolei podziemnej zadzwonił na kilka numerów telefonicznych.

Zaraz po jedenastej spotkał się na dworcu Chalk-Farm, z obu towarzyszami swymi.

Aż do tej chwili był inspektor Goldberg, wprawdzie niejasno i z pewnemi lukami poinformowany o poruszeniach Wallisa tego wieczoru. Obecnie jednak ślad jego zaginął.

Daremnie zaciekałby się w przypuszczenia. Zwierzyna zatarła nader zręcznie trop swój.

Gdy około północy strażnik Banku Północno-Prowincjonalnego dokonywał zwyczajnej inspekcji i właśnie wszedł na kamienne schody

wiodące do podziemia, rzucili się nań trzej nastnicy, zakneblowali i skrepowali z niepojętą szybkością. Nie uczynili mu zresztą żadnej krzywdy, sprowadzając tylko, z gruntownością łachową stan, który mu nie pozwalał w żaden sposób stawiać oporu, ni wołać o ratunek. Zamknęli go w małym pokoiku, zajmowanym zazwyczaj przez prokurenta i wzięli się do pracy w podziemiu.

— Ciężki to będzie kawał roboty! — zauważył Wallis, przemykając światłem elektrycznej lampki po kracie, zamykającej dostęp do komory pancernej.

Persh, człek mocarny, stojący obok, skinął głową uspokajająco.

— Krata nie ma wielkiego znaczenia! — rzekł. — Biorę to na siebie.

— Rozejrzyj się Callidino po przyrządach alarmowych! — rzekł Wallis.

Mały Italczyk, słynny rzeczoznawca w zakresie alarmowych sygnałów, jął badać drzwi z uwagą.

— Niema nic podejrzanego! — rzekł z całą stanowczością.

Persh, najwybitniejszy ślusarz świata zaczął pracować i po kwadransie krata odskoczyła. Poza nią, w końcu kurytarza widniały gładkie, zielone drzwi, którym poradzić nie mogli przyrządami, jakie posiadali. Przytem zamek odznaczał się tem, że nie był umieszczony na samej powierzchni, lecz powyż drzwi, w małej skrzynce pancernej. Trzeba było niezwłocznie zastosować palnik gazowy. Wallis naszkicował go starannie w małej podziałce i wiedział już, gdzie się mieści punkt decydujący w masywnej okrywie ze stali. Po półtoragodzinnej robocie drgnał nagle Persh.

— Cóż to? — szepnął.

Nie mówiąc już nic, pobiegli wszyscy trzej z powrotem przez kurytarz i wydostali się schodami do biur w wysokim parterze. Persh biegł na czele.

W chwili, gdy dotarł do sieni, zahuczał wystrzał, a Persh zatoczył się. Ujrawszy jakąś postać w cieniu ściany, strzelił do niej.

— Głupcze! — powiedział Wallis. — Za chwilę otoczą gmach.

Znowu gruchnął strzał i tym razem nie było wątpliwości kto jest napastnikiem. Wallis skierował olśniewający snop promieni swej lampy w głąb biura. Siedział tam, skulony w kątku, blisko drzwi, z rewolwerem w ręce, strażnik, którego tak dobrze, zdawało się, unieszkodliwili. Wallis zgasił lampkę w chwili, gdy strażnik wypalił poraz trzeci.

— Uciekajmy! — zawołał.

Przebiegli kurytarz boczny, potem po małej drabince dotarli do strychu, którym weszli, dalej wzdłuż wąskiego gzymsu i znaleźli się w magazynie pończoszniczym, który im służył za punkt wyjścia. Chociaż Persh odniósł ranę śmiertelną, zebrał wszystkie siły i było to ostatni raz w jego życiu. Widzieli ludzi biegnących w stronę banku, słyszeli gwizdki policjantów, ale wyszli zupełnie spokojnie wszyscy trzej, jak przystało ludziom przyzwoitym, z których jeden tylko, zdało się, wypił za wiele.

Wallis przywołał dorożkę i udzielił woźnicy z całą swobodą mądrze obmyślanych zleceń, podczas kiedy Callidino pomagał ślaniającemu się towarzyszowi wsiąść do pojazdu. Potem



odjechali zwolna, a w chwili gdy ruszono, Persh padł bezsilnie w kącie swoim.

— Czyś ciężko ranny? — spytał z troską w głosie Wallis.

— Myślę, że już po mnie, Jerzy! — szepnął.

Wallis zbadał go dokładnie przy świetle swej lampki, westchnął i wystawił głowę przez okno.

— Co chcesz uczynić? — spytał Persh słabym głosem.

— Chcę cię zawieść do szpitala! — odrzekł Wallis.

— Nie rób tego! — sprzeciwił się ranny chrypliwie. — Na miłość boską, nie ściągaj, ze względu na mnie, niebezpieczeństwa na wszystkich. Powtarzam ci, że już po mnie! Nie mogę...

Tyle tylko zdołał powiedzieć. Mięśnie jego twarzy rozluźniły się i padł na dno dorożki, jak tłumok.

Podnieśli go.

— Boże mój! — rzekł Wallis. — Nie żyje!

Istotnie, nie żył już miły, kwitnący zdrowiem i młodością Persh.

---

Sprawozdawca Daily-Monitora pisał:

— Włamanie do Banku Północno-Prowincjonalnego stanowi w dalszym ciągu, podniecający wielce temat rozmów ogólnych, w całym City.

Policja poczyniła szereg interesujących odkryć. Zostało ponad wszelką wątpliwość dowiedzionem, że zbrodniarze umknęli przez... — tu następował dość ścisły opis drogi przez nich obranej istotnie... — Najciekawszą atoli, zarówno dla policji, jak i ogółu rzeczą jest, że jak stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, w banku znajdował się jeszcze czwarty mężczyzna, którego zachowania wytłumaczyć nie sposób. Nie brał on, zda się, udziału w usiłowanym rabunku a także był obecny, zgoła bez wiedzy i zgody tamtych trzech zbrodniarzy. Sprawozdawca nasz wypytywał dziś rano strażnika banku, ale tenże był, ze względu na dobro chlebobodawców swoich, bardzo powściągliwy. Mimo to jednak potwierdził pogłoskę, że był w banku czwarty mężczyzna, który zresztą nie zachowywał się wobec niego wrogo. Chodzą dalej wieści, że strażnik został przez zbrodniarzy

bardzo szybko skrępowany i zakneblowany. Nie mieli oni prawdopodobnie zamiaru uczynić mu krzywdy, atoli groziło mu poważne niebezpieczeństwo uduszenia przez knebel.

Gdy już niemal dogorywał, zjawił się na widowni ów czwarty mężczyzna, wyjął mu knebel z ust i znacznie polepszył jego położenie. Nie ulega wątpliwości, że nie był członkiem bandy włamywaczy.

Nasuwa się przypuszczenie, iż owej nocy, dwie oddzielne bandy, niezależnie od siebie dokonały napadu na bank. Czy tak jest, czy nie jest zresztą, trzeba owemu, czwartemu wyrazić uznanie za ten czyn ludzkości.

---

— Tak więc było! — Wallis przeczytał sprawozdanie w swym dzienniku porannym, nie czując zgoła gniewu. Chociaż noc zakończyła się dlań niepomyslnie, miał pewien powód do zadowolenia. — Nie przebaczyłbym sobie nigdy, gdybyśmy zabili strażnika! — powiedział do towarzysza.

Oczy jego miały wyraz znużenia, a twarz była niezwykle bladą. Przeżył wyczerpującą

noc. Teraz siedział w biurze swego banku pokątnego, mając Callidina za jedyne towarzystwo.

— Coś mi się zdaje, że ten nieszczęsny Persh zdradzi nas.

— Persh? Z jakiego powodu? — rzucił Italczyk.

— Nie trudno będzie szoferowi podać nas jako osoby towarzyszące mu. Dziwi mnie nawet, że jeszcze nikt z policji nie był tu. Uciekać, nie ma sensu. Wiedz, — zawołał nagle, — że ten kogo raz poznała angielska policja, ujść jej nie zdoła. Lepiej, szcędząc sobie mnóstwa nieprzyjemności, czekać na miejscu rozwoju wypadków.

— Mówisz, jakbyś był na posterunku policji! — powiedział Callidino ze zdumieniem.

— Byłem oczywiście! — odparł Wallis. — Była to rzecz pierwsza, jaką uczyniłem, gdym tylko uzyskał pozór. Należało podać personalja Persha. Wypieranie się, że go znamy, nie miałoby zgoła sensu. Teraz trzeba znaleźć sobie konieczne alibi. Co do mnie, leżałem w łóżku, chrapiąc.

— Czy ktoś widział, jak wracałeś? — spytał Callidino.

— Nie! — odrzekł Wallis, potrząsając głową. — Zostawili detektywa, by mnie pilnował. Oczywiście, biedaczysko włączył się ulicą tam i z powrotem. Mogłem z całą łatwością iść za jego plecami i w stosownej chwili wśliznąć się w bramę.

Pilnowanie jest zajęciem bardzo męczącym, a nie wielu z ludzi uświadamia sobie dość jasno, ile trzeba fizycznego wysiłku, by coś trzymać na oku, zostając ciągle w tej samej sytuacji. Nawet baczność najbiegłego policjanta da się ukołysać w sposób nader prosty i Wallis miał słuszność twierdząc, że mógł niepostrzeżenie wrócić do domu. Jedyne niebezpieczeństwo leżało w tem, że podczas jego nieobecności mógł się ktoś u niego zjawić.

— A cóż z tobą?

Callidino uśmiechnął się.

— Moje alibi jest bardziej zawikłane, a jednak dużo prostsze! — powiedział. — Rodacy moi przysięgną za mnie. Neapolitańczycy lżą z upodobaniem i gotowością.

— Czyż nie jesteś Neapolitańczyk?

— Jestem Sycylijczyk! — odparł Włoch z uśmiechem. — Neapolitańczyk... dajże pokój!

Wallisa bawiła wzgarda tętniąca w tonie młodzieńca.

— A któż jest tym czwartym? — spytał nagle Callidino.

— Nasz tajemniczy nieznajomy, to nie ulega wątpliwości! — odrzekł zatroskany Wallis. Djabli wiedzą, zresztą, kto to! Nie zabiłem dotąd w życiu człowieka, ale będę zmuszony przedsięwziąć poważne środki, by zaspokoić co do tego ciekawość swoją... Musi nastąpić podział zdobyczy... — dodał po chwili... — dziś jeszcze wezmę się do tego. Persh ma gdzieś w świecie krewnych, córkę, czy siostrę. Musi ona otrzymać część swoją. W Southwark jest adwokat pokątny, który nam to załatwi. Trzeba w tym celu sfingować śmierć bogatego wujaszka.

Callidino skinął na zgodę głową.

— Co do mnie — rzekł, wstając i prostując się — od dawna czuję pociąg ogromny do winnic południa. Wystawię sobie willę w Monte-

catini, by pić szlachetne wina, a drugą nad Lago Maggiore, by się tam kąpać. Przez całą resztę życia chcę tylko jeść, pić i kąpać się, zresztą nic pozatem.

— Straszna to myśl! — powiedział Wallis, którego postać tajemniczego czwartego człowieka, dręczyła bardziej jeszcze, niż chciał przyznać. Szarpało mu to nerwy. Z policją wyznawał się, był na nią przygotowany i mógł z nią walczyć. Ale ten czwarty człowiek był tak samo przebiegły jak on i towarzysze jego, znał plany bandy, śledził ją i obserwował nieustannie. POCO? Jaki miał cel? Wallis nie wątpił, że ów czwarty człowiek przyglądał się ich robocie w Hatton Garden.

Jeśli to był kaprys, to posiadał rozmiary urojeń warjata. Jeśli jednak nosił się z pewnym, określonym planem, czemuż nie wystąpił otwarcie i nie ujawnił go?

— W jakizby, u licha sposób można go dostać w ręce? — rzekł półgłosem.

— Daj ogłoszenie do dziennika! — poradził Callidino.

Wallis chciał dać odpowiedź grubjańską, ale nagle zamilkł. Ostatecznie pomysł te nie zasługiwał na bezwzględne odrzucenie. Niejedno już dało się zrobić przy pomocy szpałt dziennikarskich.

## IV.

## KRYJÓWKA ZDOBYCZY.

— Nieproszonego gościa z Hatton Garden, zapytuje człowiek, który leżał na ziemi, czy nie zechciałby wejść z nim w porozumienie i umożliwić spotkania. Człowiek leżący wówczas na ziemi chce coś zaproponować i przyrzeka nieproszonemu gościowi bezpieczeństwo osobiste.

Gdy Gilbert Standerton przeczytał to ogłoszenie podczas śniadania, lekki uśmiech zjawił mu się na ustach.

Edyta dostrzegła to.

— Co cię tak raduje, Gilbercie? — spytała.

— Myślę właśnie nad tem, jak śmieszne bywają nieraz ogłoszenia.

Śledząc kierunek oczu męża, wymiarkowała dane miejsce na szpałcie dziennika, postano-



wiwszy, że przy sposobności sama odnajdzie przyczynę tej wesołości.

— Mówiąc nawiasem — powiedział po chwili lekkim tonem — złożę dziś w banku pewną sumę na twoje imię.

— Na moje imię? — spytała.

Skinał głowę.

— W czasach ostatnich wiodło mi się dość szczęśliwie na giełdzie. Osięgnąłem na kolejach amerykańskich dwanaście tysięcy funtów zysku.

Spojrzała mu bystro w oczy, pytając.

— Czy mówisz serjo?

— Czemużbym nie miał mówić serjo? — odrzekł. — Wiedz, że koleje amerykańskie podniosły się niedawno i w ten sposób doszedłem do pieniędzy! — uśmiechnął się znowu. — Nabyłem te akcje po niskiej cenie, a sprzedałem gdy poszły w górę. Oto zestawienie maklera.

Dobył papier z kieszeni i podał jej przez stół.

— Mam wrażenie, że powinienem cię przekonać, iż nie wszystkie dochody czerpię z owego, ciemnego zawodu.

Powiedział to z pozoru żartobliwie.

Nie rzekła nic. Wiedziała już teraz, kto był owym czwartym człowiekiem. Z jakiego powodu poszedł tam? Jaki miał w tem cel?

Gdyby był detektywem, albo działał na zlecenie rządu, niewątpliwie powiedziałby jej o tem. Czuła bicie serca, czytając przypuszczenia zawarte w dziennikach.

Był tedy także włamywaczem.

Wszystko to wirowało jej w głowie, podczas gdy Gilbert podawał jej papier.

Wykaz był całkiem jasny. Poszczególne kwoty, uszeregowane systematycznie, dawały pokazną sumę.

— Jak widzisz, nie wszystko przekazałem na ciebie! — zażartował. — Część zostawiłem także sobie.

— Gilbercie! — powiedziała. — Dlaczego masz przedemną tajemnice.

— Cóż to za tajemnice? — odparł.

— Czemu zataiłeś, że byłeś przedwczoraj nocą w banku, podczas owego, strasznego wydarzenia?

Milczał przez chwilę.

— Nie zataiłem tego przed tobą... — powiedział — ...przyznałem to faktycznie, co prawda, wyrwało mi się... ale przyznałem niewątpliwie.

— Co tam robiłeś? — śledziła dalej.

— Szedłem za gwiazdą przewodnią szczęścia mego! — rzekł uroczyście.

Ale ten żartobliwy ton nie oddziałał na nią.

— Co tam robiłeś? — spytała ponownie.

— Obserwowałem trzech interesujących włamywaczy przy robocie, co uczyniłem nieraz już, ale dużo razy. Widzisz mam szczególniejsze uzdolnienie w tym kierunku. Z natury, powinienbym być zostać włamywaczem, ale pochodzenie, wykształcenie i pewien szacunek dla prawa przeszkodziły mi w obraniu tego zawodu życia. Jestem dyletantem. Sam nie popełniam zbrodni, ale interesują mnie one wielce. Staram się — dodał powoli — zbadać jaki urok wywierają one na umysł normalny. Prócz tego mam osobny powód kontrolowania skarbów, jakie gromadzą ci ludzie.

Zatroskane oblicze Edyty świadczyło o rozterce duchowej. Nie chciał jej drażnić dalej, ale

wiedząc już tyle, zasługiwała na to, by jej powiedzieć więcej.

Do niedawna jeszcze uznawał możliwość zatajenia przed nią wszystkiego. Ale nie sposób, by dwoje ludzi, żyjących pod jednym dachem, zainteresowanych wzajemnie tem co czynią, nie odkryło przed sobą najstaranniej strzeżonych tajemnic.

— Pojąć nie mogę... — zaczęła przeciągłym tonem.

— Czego nie możesz pojąć?

— Pojąć nie mogę, z jakiego powodu nagle zrezygnowałeś z wszystkich normalnych rozrywek, dlaczego wystąpiłeś z ministerstwa, czemu zaniechałeś muzyki, a ponad wszystko nie rozumiem zgoła czemu ten nagły przełom w życiu twojem nastąpił niezwłocznie po usłyszeniu fatalnej melodji F-dur?

Milczał długo, potem zaś powiedział głosem cichym i niepewnym.

— Nie masz zupełnej słuszności. Rozpocząłem śledzenie bandy złoczyńców zanim jeszcze zagraną została ta melodja... — urwał. — Przyznaję, że żywiłem obawę, iż prędzej czy póź-

niej, melodia F-dur rozebrzmi pod oknem mojem i byłem, o ile to możliwe, pogodzony z myślą o tym dniu smutnym. Oto wszystko co ci mogę powiedzieć.

— Powiedz jeszcze jedno! — ozwała się, gdy wstał. — Gdybym cię kochała, była wszystkim w życiu i dała to, czego pragniesz, czy obrałbyś był i wówczas tę drogę?

Myślał przez chwilę.

— Nie mogę ci powiedzieć! — odrzekł w końcu. — Możliwe, że byłbym to uczynił, a może też nie. ...Hm... — dodał zaraz, robiąc gest głową — uczyniłbym napewne to co czynię teraz, tylko decyzja przyszłaby mi z większym wysiłkiem moralnym, gdybyś mnie kochała... ale w sytuacji jak obecna... — wzruszył ramionami.

Niedługo potem wyszedł z domu, a Edyta odnalazła zupełnie łatwo interesujące ją ogłoszenie w dzienniku.

On był tedy owym, nieproszonym gościem z Hatten-Garden i to co mówił, polegało na prawdzie. Obserwował tych ludzi, a oni wiedzieli o tem.

Huczła jej w głowie, gdy usiadła, starając się powiązać nici tajemnicy. Po pewnym jednak czasie, z samego już wyczerpania, musiała zaniechać wszystkiego i przyznać, że nie jest bliższą rozwiązani, niż w początkach.

Gilbert nie miał zgoła zamiaru wieczoru tego wychodzić z domu. Powiedział sobie, że żona będzie się niepokoić i troskać. Niezależnie od tego zresztą nauczył się w pewnym znaczeniu cenić życie domowe. Życie to było, co prawda dziwnie nienormalne, posiadało jednak dużo uroku i powabu.

Świadomość, że ją spotka każdego rana, będzie mógł rozmawiać w ciągu dnia, pozyskując w niej coraz to lepszego przyjaciela, wszystko to sprawiało mu radość niemłą.

Udał się do swego, małego biura w Cheapside, znajdującego się nad wielkim sklepem. Wynajął je, zmuszony do tego interesami, jakie miał w City.

Otworzył drzwi męskiego pokoiku na trzecim piętrze, wszedł i zamknął za sobą. Znalazł kilka listów, skierowanych doń, jako

właściciela biura. Nie zawierały jednak nic ważniejszego, poza wiadomościami handlowymi.

Usiadł przy biurku, by skreślić krótką notatkę do domu, gdyż przyszła mu na myśl, że może mimo wszystko, zająć potrzeba późnego powrotu do domu, dlatego chciał to objaśnić. Nie miał obowiązku usprawiedliwiać wobec żony tego, co czyni, ale zajęła ona w życiu jego miejsce nader ważne, toteż uznał, że posiada prawo, by być powiadomioną o najbliższych planach jego.

Ale zaledwo dotknął piórem papieru, zapukano do drzwi.

— Proszę! — powiedział Gilbert, zdziwiony potrosze.

Rzadko bardzo zdarzało się, by doń tutaj ktoś zachodził. Przemknęło mu przez głowę, że to może akwizytor ogłoszeń, chcący otrzymać zlecenie. Ale osobistość, która weszła nie był to osobnik tak powszedni. Gilbert znał go jako niejakiego p. Wallisa, człowieka bardzo towarzyskiego i dobrodusznego.

— Proszę, zechciej pan usiąść! — powiedział, nie drgnąwszy nawet powieka.

— Chciałbym pomówić z panem, panie Standerton! — odparł Wallis, nie zabierając się wcale do siadania — czy byłbyś pan łaskaw pójść ze mną do mego biura?

— Sądzę, że możemy konferować i tutaj! — oświadczył Gilbert z całym spokojem.

— Wolałbym dużo, by się to odbyło u mnie! — rzekł Wallis. — Będzie tam zaciszniej. Wszakże nie boisz się pan iść do mnie? — dodał z zaledwo dostrzegalnym uśmiechem.

— W każdym razie, nie mam specjalnego pragnienia być u pana, — oświadczył Gilbert ze śmiechem — ponieważ jednak ciasno tutaj istotnie i brak miejsca na szerokie rozwijanie skrzydeł myśli, pójdę z panem. Przypuszczam, że chcesz mnie pan obdarzyć zaufaniem swoim.

Spojrzał na Wallisa w sposób szczególniejszy, a tenże skinął głową.

Opuścili obaj biuro, a Gilbert był naprawdę ciekawy, jaką mu Wallis da propozycję.



W dziesięć minut potem znaleźli się u wejścia do magazynu przy St. Bride—Street, owego wybitnego składu kas pancernych, którego rozwój kroczył istotnie niezwykłym tempem.

Gilbert Standerton rozejrzał się wokoło. Obecny w lokalu kierownik interesu, pierwotny wzór uczciwości, skłonił się grzecznie na widok Wallisa, zdziwiony tylko potroszę, gdyż właściciel przedsiębiorstwa był nader rzadkim gościem przy St. Bride—Street.

— Chodźmy do mego biura! — zaproponował Wallis.

Zamknął drzwi, gdy weszli.

— Powiedz mi pan proszę, bez ogródek, jakie jest życzenie pańskie? — spytał Gilbert.

— Proszę, zapal pan cygaro! — rzekł Wallis, podsuwając mu pudełko.

Gilbert uśmiechnął się.

— Nie ma wcale potrzeby obawiać się! — zauważył Wallis, mrugając oczyma. — Nie ma w tem żadnego oszustwa, ani podstępu. Jest to moja ulubiona marka.

— Nie palę cygar — rzekł Gilbert.

— Kłamstwo numer pierwszy! — wykrzyknął Wallis wesóło. — Wcale obiecujący początek wymiany poufnych zw..... A więc, panie Standerton bądźmy ze sobą zupełnie szczerzy, ja przynajmniej chcę mówić całkiem otwarcie. Mam nadzieję, że pan odpłaci tem samem, gdyż sądzę, że na to zasługuję. Wiesz pan o mnie bardzo dużo, ja przeciwnie wiem o panu nader mało, tak że sama sprawiedliwość domaga się wyrównania tego stosunku.

— Nie stawię trudności — odparł Gilbert — i proszę wierzyć, że o ile tylko dostrzegę jakąś korzyść dla siebie, postąpię w myśl propozycji pańskiej.

— Przed paru miesiącami — powiedział Wallis, puszczając kłęby cygarowego dymu i obserwując z uwagą sufit — wraz z jednym z przyjaciół zajęty byłem pracą zawodową i fachową.

Gilbert skinął głową.

— Pracę tę — ciągnął dalej Wallis — przerwało nam zjawienie się jakiegoś dżentelmena, który pod maską ukrywał skromnie twarz swoją z powodu znanego sobie najlepiej! — wzru-

szył ramionami. — Chociaż żałuję bardzo tego incydentu, muszę oddać należytą pochwałę dyskrecji nieznanego. Od tej pory jednak tenże sam dżentelmen utrudniał, a nawet udaremniał wysiłki przyjaciół moich w zawodowym, a rozumiałem dążeniu do osiągnięcia bogactw. Czasem widywaliśmy go, czasem dopiero po opuszczeniu widowni pracy naszej spostrzegaliśmy, że był obecny. Otóż panie Standerton, ten człowiek, który może posiadać najlepsze powody działalności swojej, stanowi poważne niebezpieczeństwo dla naszego bezpieczeństwa.

— Któż jest tym młodym człowiekiem? spytał Gilbert.

— Tym młodym człowiekiem — odrzekł Wallis, nie odrywając oczu od sufitu — tym młodym człowiekiem jesteś pan!

Skąd pan to wiesz? — zapytał Gilbert z całą swobodą.

— Wiem — odrzekł Wallis z uśmiechem — i to mi wystarczy. Mogę to, dziwnym zbiegiem okoliczności udowodnić, nawet nie poznając pana z rysów twarzy! — przysunął z drugiego końca biura kałamarz. — Proszę, zechciej

pan na tym kawałku papieru — padał mu kartkę — zrobić maleńki odcisk palca.

Gilbert potrząsnął z uśmiechem głową.

— Nie widzę zgoła powodu dlaczego miałbym to uczynić! — rzekł chłodno.

— Racja zupełna. Gdybyś pan to zrobił, mielibyśmy nader interesujący odcisk dla porównania. Mam tutaj w przedsiębiorstwie mojem dużą kasę pancerną, która stoi u mnie już od kilku miesięcy.

Gilbert skinął głową.

— To własność klienta, który zabrał klucze! — powiedział.

— Doskonale! — pochwalił Wallis. — Pamiętaj pan tedy moje kłamstwo na ten temat. Kasa ta posiada trzy grupy kluczy, a ponadto zamek szyfrowy. Powiedziałem trzy, — poprawił się — ale właściwie jest cztery. Popełniłem wielkie niedbalstwo, zostawiając trzy tygodnie temu klucze od tej kasy tutaj w biurze, w kieszeni surduta. Wyznaję — dodał z uśmiechem — nie miałem w podejrzeniu pana, zgoła nie wiedząc, iż posiadasz tak szczegółowe informacje o moich nawykniach i rozlicznych tajemni-

cach. Przypomniawszy sobie głupotę moją około jedenastej tegoż wieczoru, wróciłem tedy zaraz, by zabrać klucze. Znalazłem je dokładnie na miejscu właściwym, ale ktoś inny znalazł je przedtem i ten ktoś inny porobił z nich odciski na wosku. Ponadto — pochylił się do Gilberta, zniżając głos — ten ktoś inny nabrał odtąd przyzwyczajenia przychodzić tu nocami, z przyczyn czysto prywatnych. Czy znane są te przyczyny panu, panie Standerton?

— Przybywa tutaj w celu pozbawiania nas — powiedział Gilbert z ironją.

— Przybywa tutaj w celu pozbawiania nas rezultatów pracy naszej! — rzekł Wallis, a ponieważ nie brakowało mu zmysłu komicznego, przeto uśmiechnął się nawet.

— Jakaś osobistość, której sumienie, czy skłonność do uczciwości nie pozwala zostać zawodowym włamywaczem oddaje się ponętnemu przedsiębiorstwu obrabowywania rabusiów. Jednem słowem 20.000 funtów w dobrej monecie zostały skradzione.

— Zostały pożyczone, co do tego nie zachodzi żadna wątpliwość! — powiedział Gilbert

i trzymając ręce w kieszeniach, patrząc twar-  
dym wzrokiem, rozparł się w fotelu.

— Co znaczy pożyczone? — spytał Wallis  
ze zdziwieniem wielkiem.

— Tak jest, kwota ta została pożyczona  
przez osobę, która potrzebuje pieniędzy za każ-  
dą cenę, przez osobę znającą się na spekulacji  
giełdowej dużo lepiej, niż ci, którzy uczynili  
z tego zawód swój. Osoba ta, znając tajniki naj-  
trudniejszych tranzakcji mogłaby opierając się  
na tej właśnie znajomości dokonywać obrotów  
zawrotnych wprost, gdyby nie obawa, że przy  
przypadkowem zresztą zgoła niepowodzeniu  
ukrzywdzi nieszczęsnego maklera.

Oparty łokciami o stół, napoły odwrócony  
od Wallisa usłyszał, że zamknięto drzwi zew-  
nętrzne ęiura, wiedział tedy, że są sami, jak to  
uplanował z góry Wallis.

— Potrzebowałem niezbędnie pieniędzy! —  
powiedział. — Łatwo byłoby mi skraść je, chcia-  
łem to nawet uczynić. Śledziłem pana przez ca-  
ły miesiąc, podobnie jak śledziłem innych zbro-  
dniarzy całemi latami i znam również dobrze jak  
pan wszystkie tricki rzemiosła. Przypomnij pan

sobie, że w ministerstwie spraw zagranicznych, pracowałem w dziale zajmującym się głównie zagranicznymi łotrzykami. Byłem w rzeczywistości urzędnikiem policji, nie posiadając tylko pełnych jego praw.

— Wiem to wszystko! — oświadczył Wallis.

Zaciekawiony wielce, pragnął dać się pouczyć, zarówno w bezpośrednim interesie własnym, jak i dla rozszerzania swych wiadomości o ludziach.

— Jestem tedy właściwie złodziejem. Przyczyna nie obchodzi pana wcale, sądzę.

— Czy melodia F. dur miała z tem coś wspólnego? — spytał Wallis oschłym tonem.

— Co masz pan na myśli? — spytał ostro.

— To właśnie co mówię! — odparł Wallis, obserwując bacznie Gilberta. — Zauważyłem, że masz pan specjalne upodobanie w słuchaniu tej melodji właśnie. Dlaczegożto? Przyznaję, że jestem wielce ciekawy.

— Zachowaj pan ciekawość swoją na coś, co pana obchodzi! — odrzucił Gilbert szorstko — któż panu to powiedział?

Wallis roześmiał się.

— Mamy swe źródła informacji... — zaczął z pychą.

— O tak... — skinął głową Gilbert. — Wszakże pański przyjaciel Smith mieszka u Wingów. Zapomniałem o tem.

— Mój przyjaciel... chyba szofer mój, nie-prawdaż?

— To pański kompan, czwarty członek bandy, który nigdy nie występuje osobiście podczas wypraw rozbójniczych, ale w najrozmaitszych przebraniach stwarza podstawy i warunki przyszłych rozbojów. O, wiem ja doskonale wszystko! — zawołał, czyniąc ręką gest okolny po całym biurze.— Znany mi jest pański świetny pomysł handlowania kasami pancernemi. Myśl świetna, przyznaję, ale nie oryginalna. Przed kilku laty, o ile wiem, stosowano to we Włoszech. Starasz się pan sprzedawać kasy swoje we wilach i domach odległych, ofiarując je po cenie śmiesznie niskiej, a reszta zupełnie jasna. Mając drugie klucze, możesz pan każdego czasu dostać się do domu, gdzie jest pańska kasa. Oczywiście wszystkie przedmioty wartościowe



i całą płynną gotówkę odnajdziesz pan z łatwością na miejscu dostępnem dla siebie.

Wallis skinął głową.

— Wszystko w porządku, drogi przyjacielu, ale nie potrzebuję zgoła pouczenia o samym sobie. Racz mi pan łaskawie dokładnie określić rolę, jaką pan odgrywasz? Czy, zdaniem pańskim możesz być zaliczony w poczet ludzi przyzwoitych?

— Sądzę, że tak! — odparł krótko Gilbert.

— Nie wchodzi tu zgoła w grę moralna strona czynów moich.

— Szczęśliwy z pana człowiek! — rzekł Wallis łaskawie. — Ale zechciej mi pan powiedzieć jaką rolę odgrywasz pan i jak usprawiedliwiasz fakt zabierania nam od czasu do czasu znaczniejszych sum, które chowasz pan gdzieś w innem miejscu?

— Nie usprawiedliwiam tego wcale! — odparł Gilbert i wstawszy, jął chodzić po biurze, a Wallis nie spuszczał zeń oka. — Wiem, — dodał — że w oczach pańskich jestem złodziejem, ale pracuję według pewnego, określonego planu! — zwrócił się do Wallisa. — Czy pan

wiesz, że jest mi nieznaną wartość łupów jednej choćby wyprawy pańskiej, oraz nazwisko właściciela? Tak... tak — potwierdził gestem głowy. — Wiem także, iż nie puściłeś pan na paserkę ani jednego przedmiotu, ale masz wszystko w swych kasach pancernych. Jeśli mi się poszczęści, mam nadzieję nietylko panu zwrócić to co wzięłam, ale także zwrócić do grosza to wszystko co pan ukradłeś.

— Co pan masz na myśli? — spytał Wallis, zrywając się

— Chcę to zwrócić, oczywiście, prawowitym właścicielom! — oświadczył Gilbert spokojnie. Postarałem się nabrać takiej pewności, że niedługo będę mógł powiedzieć: Masz pan naszyjnik będący własnością lady Dynshird, wartości czterech tysięcy funtów... dam panu zań kwotę przyzwoitą, powiedzmy tysiąc, to znaczy znacznie więcej niżby dał paser... i zwrócę właścicielce. Będę mógł powiedzieć panu n. p.: Wzięłam z pańskiego trezoru 10.000 funtów w złocie i banknotach francuskich. Tutaj jest pewna kwota dla pana samego, tu dla pańskich pomocników, a resztę zwrócę okradzio-

nym. Posiadam bardzo staranny wykaz, gdzie nie został pominięty jeden nawet grosz, od kiedy jestem nadzwyczajnym członkiem bandy pańskiej.

Uśmiechnął się ponuro.

— Mój drogi Don Kiszocie! — sapnął Wallis z niedowierzaniem. — Podjąłeś pan zadanie zgoła niemożliwe.

Gilbert potrząsnął głową.

— Nie! nie! — oświadczył. — Zarobiłem na giełdzie znacznie więcej pieniędzy, niż miałem nadzieję posiadać w życiu.

— Może zechce mi pan odpowiedzieć na to pytanie? — powiedział Wallis. — Czem można sobie wytłumaczyć pańskie nagłe pożądanie bogactwa. Bowiem pożądanie to o ile się nie mylę, wystąpiło nagle?

— Tego objaśnić panu nie mogę! — rzekł Gilbert tonem bezwzględnie stanowczym.

Nastąpiła mała pauza, po czym Wallis wstał, mówiąc:

— Sądzę, że lepiej będzie, gdy się porozumiemy. Zabrałeś nam pan około dwudziestu ty-

sięcy funtów, poszkodowałeś nas pan na kwotę tak znaczną, z której niema śladu poprostu...

Gilbert znowu potrząsnął głową.

— Mylisz się pan. Nie brak ani grosza. Oświadczam, że pieniądze te były mi tylko rezerwą w razie potrzeby. Faktycznie nie potrzebuję ich już! — dodał z uśmiechem. — Mógłbym nawet zwrócić jeszcze dziś wieczór.

— Byłbym panu niewymownie wdzięczny, gdybyś to uczynił! — powiedział Wallis.

Gilbert spojrzał nań.

— Podobasz mi się pan, Wallis, — powiedział — mimo, że jesteś wielkim łotrem. Masz pan w sobie coś, co skłania do podziwu.

— Jesteśmy obaj wielkimi łotrami! — poprawił Wallis. — Proszę nie żywić co do tego żadnych złudzeń.

— To prawda! — przyznał smutnie Gilbert.

— Jakże dojdziemy z tą całą sprawą do końca? — spytał Wallis. — Gdzież przedsięwzięmiemy obliczenie? Czy może masz pan zamiar trwać dalej w myśli tego, szlachetnego odszkodowania jak długo będzie trwało moje przedsiębiorstwo?

Standerton potrzęsnał głową.

— Nie! — odparł. — Przedsiębiorstwo pańskie skończy się jeszcze dziś wieczór.

— Skończy się? — spytał Wallis z osłupieniem.

— Tak jest, skończy się! — odparł Gilbert. — Zabrałeś pan dość pieniędzy, by spocząć na laurach. Zaprzestań pan tedy dalszej działalności! Ja zaś zarobiłem tyle, że mogę — uśmiechnął się — przejąć całą ilość przedmiotów wartościowych i zwrócić każdy, przez pana okradziony grosz. Chciałem właśnie wystąpić z tą propozycją w czasie najbliższym.

— A więc mamy, zdaniem pańskim dziś wieczór kończyć rzecz całą? — rzekł w zadumie. — O nie, przyjacielu drogi! — dodał wesoło — dziś właśnie chcę dokonać jednego z najprzedziwniejszych figłów mego życia. Uśmiełbyś się pan, wiedząc kogo obrałem sobie na ofiarę.

— Od pewnego już czasu nie mam zgoła ochoty do śmiechu! — powiedział Gilbert. — Któż to jest?

— Powiem innym razem! — odrzekł Wallis.

Z rękami w kieszeniach podszedł do szklanych drzwi biura i jął podziwiać potężną kasę, gwiżdżąc jakąś piosenkę.

— Nieprawdaż, że ta kasa, to mój niezrównany pomysł? — spytał nibyto mimochodem, a z dumną miną przedmieszczanina pokazującego nową grządkę ogórków.

— Istotnie, przyznaję, doskonały!

— Interes prosperuje, — powiedział Wallis smętnie — byłoby straszną szkodą zwijąć go, po przezwyciężeniu tylu nieprzyjemności. Widzi pan, że często w ciągu całego roku nie sprzedajemy ani pół tuzina kas ludziom o jakich nam idzie. Ale jeśli sprzedamy jedną bodaj człowiekowi właściwemu, wówczas koszta opłacają się w znacznej mierze. To takie proste nieprawdaż? — po chwili dodał. — Ale panu zginął, o ile wiem kosztowny naszyjnik, który oddano policji... Proszę się nie usprawiedliwiać! — tu podniósł rękę. — Rozumiem doskonale, to sprawa rodzinna. Przykro mi, że pana naraził na nieprzyjemności, zgoła bezwiednie.

Drwiąca jego uprzejmość ubawiła Gilberta.

— Nie była to wcale sprawa rodzinna, — odrzekł — nie miałem bowiem wyobrażenia czyją jest własnością. Popelniono tylko wielkie niedbalstwo... Znalazłem naszyjnik poza kasą. Prawdopodobnie, podczas spieszego chowania innego łupu, spadł on niepostrzeżenie.

— Jestem panu winien gorącą podziękę! — rzekł Wallis — usunąłeś pan przedmiot, mogący na wielką może pokusę narazić przezacnego pana Timminga.

Dobył z kieszeni klucz, pokręcił w zamku kombinacyjnym i otworzył kasę. Nic tam nie zdradzało na pierwszy rzut oka, że jest to skład najsztywniejszego złodzieja Londynu. Każdy przedmiot był nader starannie opakowany i związany sznurkiem. Wallis zamknął trezor z powrotem.

— To tylko połowa skarbcza! — powiedział.

— Połowa? Cóż pan masz na myśli?

Zdumienie Gilberta było tak szczere, że na usta Wallisa wypłynął lekki uśmiezek drwiący.

— Spodziewałem się, że pana to zdziwi bardzo! — powiedział — Tak, to istotnie do-

piero połowa skarbcza. Pokażę panu coś. Wiedząc już tyle, czemużbyś pan nie miał wiedzieć wszystkiego?

Wróciwszy do biura, otworzył drzwi innego pokoju i wszedł, a Gilbert za nim. Była to niewielka komora, oświetlona oknem w suficie umieszczonem, a środek jej zajmowało coś w rodzaju klatki. Była to kratka stalowa, przeznaczona do strzeżenia kas pancernych. Kraty takie sprzedają zazwyczaj wytwórcy francuscy.

— Piękna klatka nieprawdaż? — rzekł Wallis, otworzył wąskie przejście i wszedł, a Gilbert za nim.

-- Jakże zdołałeś pan to wnieść tutaj? — zapytał Gilbert z zaciekawieniem.

— Rozłożono ją na części a potem zmontowano, by pokazać klientom. Można tego dokazać z łatwością. Dwaj, lub trzej mechanicy upora się z całą robotą w ciągu jednego dnia.

— A więc to jest pański oddział drugi? — spytał Gilbert oschle.

— Do pewnego stopnia, tak! — przyznał Wallis. — Zaraz to pokażę panu. Jeśli udasz się pan tam w kącie i ściągniesz tę pierwszą za-



suwę, zobaczysz coś, czego nie widziałeś pan, sądzę, dotąd jeszcze.

Gilbert był już niemal we wskazanym kącie, gdy nagle uświadomił sobie przejrzysty zresztą trick. Obrócił się szybko, ale już lufa pistoletu dotykała niemal jego serca.

— Panie Gilbercie Standerton! — powiedział Wallis. — Podnieś pan ręce w górę! Pańskie plany rozrachunkowe mogą mieć dużo słuszności, ja jednak postanowiłem dokonać dziś wieczór pewnej jeszcze transakcji, przed wycofaniem się w życie prywatne. Wiedz pan, że będzie to znowu przypadek tak zwanej poetycznej sprawiedliwości. Stryj pański...

— Mój stryj! — powtórzył Gilbert.

— Stryj pański, — rzekł Wallis z ukłonem, wielce czcigodny, ale zdziwaczały, stary dżentlemen, przechowuje od niedawna w jednej z naszych najlepszych kas pancernych klejnoty wartości około ćwierć miliona funtów, owe słynne djamenty Standertonów, które jak sądzę, oddziedzicysz pan kiedyś. Czyż nie jest to rodzaj poetycznej sprawiedliwości — dodał, cofając się do wyjścia i szachując ciągle więź-

nia pistoletem — czyż nie jest to zgoła poetyczne, oszukać pana potroszę? Możliwe, -- dodał z ponurym uśmiechem, że... że i ja doznam wyrzutów sumienia i zwrócę panu kiedyś z powrotem własność, którą skradnę tej nocy.

Zatrzasnął z łoskotem drzwi, przekręcił dwa razy klucz w zamku i skierował się do biura.

— Pozostaniesz pan tutaj przez czterdzieści ośm godzin! — powiedział — Potem będziesz wolny... daję na to słowo. Nie jest to, przyznaję, zgoła przyjemne, ale życie zmusza nas do nierównie przykrzejszych często przejść. Pozostawiam pana dobrotliwemu losowi jego.

Rzekłszy to wyszedł, a Gilbert sądził, że opuścił dom. Ale wrócił po kwadransie niosąc wielki imbryk z kawą, dwa nowiuteńkie termosy, oraz dwa okazałe pakiety napchane, jak się później okazało mnóstwem zakąsek.

— Nie chcę pana wcale zagłodzić! — oświadczył. — Radzę trzymać kawę ciepło, mogłaby ostygnąć z nadto w ciągu długiego czekania. Przyniosę panu zresztą coś jeszcze.

Wrócił do biura i przyniósł dwa, grube płaszcze, które z trudem przepchnął przez kratę.

— Bardzo to ładnie z pańskiej strony... — rzekł Gilbert.

— Bagatela! Nie warto wspominać! — odparł grzecznie Wallis.

Gilbert nie miał przy sobie broni, a gdyby nawet był uzbrojony, nic by mu to nie pomogło.

Wallis nie wypuszczał z ręki pistoletu, ścisnąc kolbę, nawet w chwili, kiedy podawał mu środki żywności.

— Życzę panu dobrej nocy! Gdybyś pan chciał skierować do żony wolną od podstępów wieść, że n. p. pilne interesy nie dozwolą panu wrócić do domu, z największą przyjemnością podjąłbym się przesłania listu.

Podał mu przez kratę papier, kopertę i pióro samopiszące. Ta, kulturalna wielce uprzejmość uczyniła na Gilbertcie wielkie wrażenie.

Zbrodniarz ten okazał lepsze zgoła cechy charakteru niż wielu ludzi, którzy nigdy nie weszli w konflikt z prawem.

Nakreślił spiesznie kilka słów usprawiedliwienia, wsunął w kopertę i zakleił ją zanim mu przyszło na myśl, że człowiek, który go uczy- nił więźniem chciałby zapewne przeczytać.

— Proszę o przebaczenie! — powiedział. — Całkiem zapomniałem! Ale można otworzyć, guma jeszcze wilgotna.

Wallis potrząsał przecząco głową.

— Starczy mi — powiedział — jeśli pan zaręczysz, że niema tam nic więcej prócz tego, o czem mówiłem i czego oczekiwać mogę że będzie napisane.

Rzekłszy to, opuścił Gilberta, dając mu obfity materiał do samotnych rozmyślań.

## V.

### • TESTAMENTY WUJASZKA.

Generał, sir John Standerton był człowiekiem o charakterze złośliwym i pobudliwym wielce. Usprawiedliwiano to po części tem, że większą część życia spędził w Indjach, kraju, gdzie, jak powiadają najłagodniejsze usposobienie musi zostać niechybnie podkopane. Był

bezzenny i żył samotnie, o ile pominiemy małą armję służących. Posiadłość kupioną przed laty dwudziestu przemianował na „Rezydencję“, co się ustaliło w całej okolicy. W tej to „Rezydencji“ wykonywał pewien rodzaj władzy feudalnej.

Nieprzyjaciele jego twierdzili, że utrzymuje na pełnej stopie ten cały bataljon, by zawsze mieć pod ręką kogoś do zwymyślenia. Było to jednak, zdaje się, zawistnem jeno oszczerstwem. Opowiadano sobie także, iż bierze rok rocznie innego adwokata, a zostało stwierdzonem, że zmienia banki z niesłychanem pośpiechem.

Leslie Frankfort siedział pewnego ranka przy śniadaniu z bratem w małym swym domu w Mayfair.

Jack Frankfort, rokujący duże nadzieie młody adwokat, pracował w biurze, prowadzącem właśnie w tym czasie sprawy sir Johna Standertona.

— Wiesz co? — powiedział Jack Frankfort. — Dziś, wieczorem zobaczę się z twym dawnym przyjacielem.

— Jakim dawnym przyjacielem?

— Standertonem.

— Gilbertem?

Jack Frankfort uśmiechnął się.

— Nie, ze strasznym stryjem Gilberta. Mamy dla niego właśnie coś załatwić.

— W jakimże celu udasz się do niego?

— Idzie o testament, mój drogi. Mamy dlań ułożyć testament.

— Ileż testamentów spisał już w życiu ten stary dziwak? — powiedział Leslie w zadumie. Biedny Gilbert!

— Czemuż biedny? — spytał brat, nabierając marmelady.

— Był przez jakichś dziesięć minut generalnym spadkobiercą stryja.

Jack zrobił grymas.

— Niema, zda się, człowieka któryby przez dziesięć minut nie był spadkobiercą starego Standertona. W ciągu ostatnich lat dwudziestu ustanawiał, jak mi mówiono spadkobiercami swymi każdy szpital, przytułek psów, czy kotów, każdy najcudacniejszy zakład, o jakim

świat słyshał dziś zaś chce zrob  
ment.

— Wstaw się, proszę, za C  
rzekł Leslie.

Brat mruknał z niechęcią.

— Niema tu możności wstawić s.  
kolwiek. Stary Tomlius, który miał z  
tnio do czynienia, powiedział, że jest  
trudną rzeczą ułożyć dla starego dziwaka te-  
stament, zanim sobie wymyśli nowy. Tak, czy  
owak zaciekł się teraz właśnie przy myśli spi-  
sania testamentu nowego, ja zaś mam doń po-  
jechać w tej sprawie właśnie. Może wyruszysz  
razem ze mną? Wszakże znasz staruszka.

— Za żadne skarby nie pojedę z tobą! —  
zachnął się Leslie żywo. — Znam tego narwań-  
ca i on mnie zna dobrze. Wie, że mnie łączą  
stosunki przyjaźni z Gilbertem. Byliśmy raz  
obaj przez dwa dni w jego domu. Na miłość  
boską, nie powiedz, że jesteś bratem moim,  
gdyż inaczej wyszuka sobie napewne inne biu-  
ro adwokackie.

— Nie mam zwyczaju chlubienia się pokre-  
wienstwem z tobą! — odparł Jack.

szczelny drab! — powiedział  
em. — Ale sędzę, że każdy ad-  
minien takim.

afort wyjechał zaraz po południu.  
nu. W tym samym przedziale sie-  
ment rozmowny wielce i zaczęli  
e jak owi nieznośni, przeciętni An-  
rzy czują nieprzewyciężony wstręt  
do zawiązywania rozmowy w czasie podróży.

Ów dżentlemen zwiedził widocznie kawał  
świata i znał wielu ludzi, znanych także Jacko-  
wi. Gdy tak gwarzyli przez godzinę o najroz-  
maitszych rzeczach, pociąg zatrzymał się na  
małej stacyjce, gdzie miał Jack wysiadać. To-  
warzysz podróży wysiadł razem z nim.

— Cóż za dziwny zbieg okoliczności! — po-  
wiedział serdecznym tonem. — Tu jest właśnie  
także i mój cel podróży. Dziwna, mała, zapa-  
dła dziura, nieprawdaż?

Miasteczko nie było zresztą wcale dziwną,  
zapadłą dziurą i posiadało bardzo wygodną  
gospodę, gdzie towarzyszy podróży pomieszczono  
w dwu, sąsiadujących ze sobą pokojach.



Jack Frankfort spodziewał się, że dopełni swego zlecenia tegoż jeszcze wieczoru, tak, by móc wracać do Londynu pociągiem nocnym. Ale wiedział, że byłoby rzeczą nierozważną poiegać na szybkim załatwieniu sprawy ze staruszką.

Istotnie, był zaledwo kwadrans w hotelu, gdy mu doręczono z „Rezydencji” zawiadomienie, iż z sir Johnem można się widzieć dopiero około dziesiątej.

W ten sposób, musiał z przykrością, porzucić myśl wracania tej nocy jeszcze do Londynu.

Przy jedzeniu spotkał towarzysza podróży.

Mimo, że nie był dokładnie poinformowany o nawyczkach życiowych sir Johna, wiedział, iż jedną z jego dziwackich pasji jest jądanie późno. Ponieważ zaś nie miał zamiaru głodować, zamówił posiłek wieczorny o pół godziny wcześniej, niż go zazwyczaj podawano w małym hoteliku.

Wyjaśnił to kilku słowami usprawiedliwienia dobrodusznemu towarzyszowi, siedzącemu naprzeciw, podczas gdy obaj operowali z zapamiętaniem doskonale upieczonego kapłona.

— Bardzo rad temu jestem! — odrzekł towarzysz. — Mam tu, w okolicy załatwić cały szereg interesów. Wiedz pan, proszę, że jestem właścicielem firmy handlującej kasami pancernymi.

— Kasami pancernymi? — zdziwił się Jack. Jowialny dżentlemen skinął głową.

— Chociaż to w uszach pańskich brzmi może dziwnie, firma moja jest rozgałęziona znacznie. Handluję trezorami i komorami pancernymi, zarówno nowymi, jak używanymi, a w Londynie posiadam dość duży magazyn tego towaru. O ileby to nie przekraczało granic grzeczności, radbym także i panu sprzedać to czy owo.

Frankfort nie mógł sobie wyobrazić, by tego rodzaju handel dawał jakieś dochody.

— To samo dałoby się powiedzieć o każdym innym przedsiębiorstwie! — zauważył dobroduszy przemysłowiec. — Najinratniejsze są te przedsiębiorstwa, w których spryt przemienia się bezpośrednio w gotówkę.

— Na przykład...

— Na przykład, zawód adwokata! — uśmiechnął się tamten. — Wiem dobrze, że jesteś

pan adwokatem, widać to bowiem odrazu, choćbyś pan nie miał teki z aktami i choćby nie był odczytał pańskiego nazwiska.

Jack Frankfort roześmiał się.

— Jesteś pan dostatecznie bystry, by sam zostać adwokatem! — zauważył.

— Pochlebiasz pan samemu sobie! — odparł przemysłowiec.

Gdy Jack później w ulicy głównej przywołał jednokonkę, by pojechać do „Rezydencji“, zobaczył duże, kryte auto ciężarowe, na boku którego widniał prosty napis: „Towarzystwo kas pancernych — St. Brides“. Dostrzegł także swego, miłego towarzysza podróży, który żywo rozmawiał z czarnobrodym szoferem.

Za chwilę ruszyło auto ciężarowe zwolna, wąskimi ulicami w stronę Londynu.

Jack Frankfort nie miał czasu rozstrząsać kwestji, jakie możliwości sprzedaży kasy nasuwa tak małe miasteczko, gdyż w pięć minut potem znalazł się w gabinecie sir Johna Standertona.

Stary generał był typem, jaki napotyka się często w pismach humorystycznych. Wysoki,

postawny, miał czerwoną twarz, o krótko przystrzyżonych, białych pasmach bokobrodów, które ucięte tuż pod uszami, ciągnęły się dalej przez twarz w postaci białych, krzaczastych wąsów. Prócz wąskiego wieńca siwych włosów, okalającego mu tył głowy od skroni do skroni był łysy zupełnie. Zdania jego przypominały eksplozje nieustanne. Gdy młody człowiek wszedł do gabinetu, starzec jął nań patrzeć z pod dzikich brwi, mierząc go od stóp do głowy.

Był przyzwyczajony do adwokatów, znał najróżniejsze ich odcienia, ale dzielił na dwie tylko kategorie... byli to albo szubrawcy, albo głupcy. Dla starego dżentlemana nie istniał żaden stopień pośredni i nie żywił żadnej wątpliwości, że Jack Frankfort, młody człowiek o sprytniej minie zalicza się do tej pierwszej klasy. Szorstkim tonem wezwał go, by zajął miejsce.

— Chcę z panem pomówić o moim testamentcie! — powiedział. — Od pewnego czasu noszę się z myślą innego uregulowania podziału mienia mego.

Była to jego stała, niezmienna formułka. Miała wywłócić wrażenie, iż dopiero po długich i starannych roztrząsaniach doszedł do obecnego wniosku, oraz, że spisanie testamentu jest sprawą poważną, którą przedsięwzięcie się tylko raz, lub dwa razy w życiu.

Jack skinął głową.

— Doskonale, panie generale! — powiedział. — Czy ma pan może szkic?

— Nie mam wcale szkicu! — fuknął nań stary impetyk. — Mam gotowy już testament, a tu jest odpis jego!

Rzucił go adwokatowi.

— Nie wiem czyś pan to już widział?

— Tak jest! Mam odpis w tece! — oświadczył Jack spokojnie.

— Cóż pan, u licha, chcesz przez to powiedzieć. Jak się pan ośmielasz włóczyć testament mój ze sobą w tece?

— Nie znam dlań lepszego miejsca? — odrzekł młody człowiek z całą swobodą. — Wszakże nie byłoby to panu miłe, gdybym go nosił w kieszeni spodni... prawda?

Generał wypatrzył się nań.

— Nie bądź pan bezwstydnym, młodziku! — rzekł złowrogim tonem.

Nie był to, zaprawdę, dobry początek, ale Jack wiedział, że stosowano już każdą taktykę pcczawszy od pochlebstwa, aż do nacisku. Żadna nie miała powodzenia, a rezultatem wszystkich usiłowań, o ile wchodzili w grę adwokaci, było zawsze zerwanie stosunków z domem generała.

Byłby on dość cennym klientem, gdyby go było można przytrzymać na stałe. Ale ani jeden z wszystkich adwokatów nie zdołał dotąd odkryć metody odpowiedniej, by go sobie zabezpieczyć.

— Ano dobrze! — powiedział generał w końcu. — Spiszże pan szczegółowo wszystkie moje życzenia i zrób potem odpowiedni szkic testamentu. W pierwszej linii unieważniam wszystkie poprzednie testamenty.

Uzbrojony w papier i ołówek, skinąwszy głową, zanotował sobie Jack to żądanie.

— Powtóre chcę, byś pan wyraził jasno, że nie daję ani grosza majątku mego schronisku psów dra Sundlesa. Człowiek ten postąpił wo-

bec mnie bezwstydnie i odtąd niecierpię psów. Ani grosza majątku mego nie otrzyma żaden szpital, czy jakikolwiek inny zakład dobroczynny.

Stary grzesznik oddeklamował to z wyrażeniem zadośćuczynieniem.

— Miałem zrazu zamiar zapisać poważną sumę jako kapitał zakładowy szpitala... — objaśnił — ale zachowanie się tego nikczemnego rządu...

Jack chciał zapytać, jaki ma stosunek spór starego dżentlemana ze złym rządem, do faktu, że cofa wszystkie zapisy poczynione instytucjom społecznym, zajmującym się biedakami. Ale, oczywiście zachował to pytanie dla siebie.

— Niema mowy o żadnym zakładzie dobroczynnym, wogóle.

Starzec mówił powoli, wybijając każde słowo z naciskiem na stole.

— Sto funtów zapisuję wojskowemu związkowi abstynenckiemu, chociaż uważam to za osielstwo. Sto funtów domowi żołnierza w Aldershot, która to kwota podniesioną będzie do tysiąca, w razie gdy zatraci charakter wyzna-

niowy! — zrobiwszy grymas, dodał. — Ale będzie się on trzymał Kościoła anglikańskiego aż do końca świata, przeto pieniądze pewne! Dalej... — podjął — ani grosza tutejszej kolonji chorych... uważaj pan, by się tu nie wśliznął legat... ten głupi zwarzjowany doktor, o jakimś świńskim nazwisku stanął na czele tych, którzy chcieli zdobyć sobie prawo drogowe przez posiadłość moją. Dam ja mu prawo drogowe! — wykrzyknął złośliwie.

Zużył pół godziny na wyliczanie tych poszczególne, którzy nie mieli korzystać z jego testamentu, a przez cały czas kwoty cofniętych legatów nie przekroczyły tysiąca funtów.

Skończywszy, spojrzał na młodego adwokata bezradnie, a twarde, niebieskie oczy jego, ożywił lekki przeblask humoru.

— Sądzę, że opatrzyłem każdego — rzekł — nie czyniąc specjalnych zarządzeń. Czy znasz pan mego bratanka? — spytał z nienacka.

— Znam przyjaciela pańskiego bratanka.

— Czy jesteś pan może krewnym tego uśmiechniętego z grymasem idjoty Leslie Frankforta? — zaryczał starzec.



— To brat mój! — odrzekł Jack spokojnie.

— Hm... — sarknął generał. Zaraz to pomyślałem, ujrawszy twarz pańską. Czy widzisz pan Gilberta Standertona? — rzucił znowu popędliwie.

— Spotkałem go kilka razy! — rzekł Jack obojętnie. — Tak jak pan spotyka ludzi, pytając: co słyhać i t. d.

— Nie spotykam nigdy ludzi, by ich spytać: co słyhać! — zaprotestował impetyk, parskając ze wzburzenia. — Jakież masz pan o nim zdanie? — spytał po chwili.

Jackowi przysłała na myśl prośba brata, by poparł Gilberta.

— Uważam go za człowieka bardzo przyzwoitego! — powiedział. — Chociaż jest pełen rezerwy i potrosze zamknięty w sobie.

Starzec sypnął z oczu iskrami.

— Co? Brataniec mój pełen rezerwy... zamknięty w sobie? — wybuchnął. — Oczywiście trzyma się w rezerwie. Czy pan sądzi, że Standertonowie, to towar przeciętny, tandetny? W rodzinie naszej niema żadnego chamstwa, mój panie! Jesteśmy wszyscy pełni rezerwy,

Bogu dzięki. Ja sam jestem człowiekiem tak pełnym rezerwy, jakiego nie spotkałeś pan jeszcze w życiu!

Ładna rezerwa, pomyślał Jack, ale nie wyraził, oczywiście tego. Natomiast podjął temat z właściwą sobie przebiegłością.

— Jest to człowiek, któremu dawać pieniądze, byłoby rzeczą wprost zbędną, zdaniem mojem! — powiedział.

— Dlaczegoż to? — warknął generał z wzrastającą wściekłością.

Jack wzruszył ramionami.

— Nie prowadzi otwartego domu i nie stara się też o specjalne stanowisko w londyńskim towarzystwie, które traktuje, jakby był czemś lepszym.

— I jest czemś lepszym! — huknął generał. My wszyscy jesteśmy czemś lepszym, niż towarzystwo londyńskie. Czy pan sądzisz, że dbam, o tyle, o kogoś tutaj? Czy myślisz pan, że mi imponuje taki lord High Towers, lub lady Grange? A te wszystkie świeżo upieczone arystokratyczne dorobkiewiczze, które roją się po kraju, niby myszy po polu? Nie sir? Ufam bra-

tańcowi memu, że żywi tesame poglądy. Towarzystwo w obecnym swym składzie warte, ot tyle! — strzelił z palców, tuż pod nosem Jacka, który nie drgnął nawet. — To jest miarodajne! — powiedział stanowczo, wskazując palcem na notatki adwokata. — Resztę majątku leguję Gilbertowi Standertonowi! Zapisz pan to wyraźnie.

Już dwa razy w ciągu życia wypowiedał te słowa i dwa razy zmieniał zapatrywanie. Było zupełnie możliwe, że i tym razem rozmyśli się znowu. Jeśli opinja, jaką miał pod tym względem była uzasadniona, wola jego doznać mogła zmiany do następnego rana.

— Zostań pan do jutra! — rzekł na pożegnaniu. — I przynieś szkic w porze śniadania.

— O której godzinie? — spytał Jack uprzejmie.

— W porze śniadania! — ryknął starzec.

— O której godzinie spożywa pan generał śniadanie?

— O tej samej co każde cywilizowane stworzenie! — ofuknął go generał. — Dwadzieścia

pięć minut przed pierwszą! A o której, u dżaska śniadasz pan

— Dwadzieścia minut przed pierwszą! — odparł Jack łagodnie, a przez całą drogę powrotną był ze siebie zadowolony.

Tego wieczoru nie ujrzał już swego towarzysza podróży, spotkał go nazajutrz dopiero, przy pierwszym śniadaniu, o pół do dziewiątej, jak zazwyczaj jadają dobrzy obywatele.

W międzyczasie musiało jednak zajść coś, co zmieniło znacznie pogodne, równe usposobienie przemysłowca. Był ponury, milczący, wyczerpany i wyglądał niemal na chorego. Jack pomyślał, że nastał pewnie zły czas dla obrotu kasami, a może nawet ogólny zastój handlowy. Z tego powodu unikał wzmianki o handlu i podczas całego śniadania zamienili kilka zdań ledwie.

Gdy Jack Frankfort wrócił do „Rezydencji”, stwierdził z niemałym zdziwieniem, że stary impetyk nie zmienił swej decyzji w ciągu nocy. Żywił te samę chęci, podkreślając je nawet jeszcze, tak, że Jack z wielkim jeno wysiłkiem zdołał go odwieść od skreślenia marnego

zapisu stu funtów na rzecz apteki biednych w tej okolicy.

— Cały majątek powinien zostać w rodzinie! — oświadczył generał stanowczo. — Nie ma zgoła sensu rozpraszać go stufuntówkami. To sprawia tylko niewygodę. Sądze, że minie jeszcze lat kilka zanim będzie dysponować mógł pieniędzmi, ale przezorność i rozważa, to hasło rodu naszego.

Wyszło na korzyść Gilberta, że adwokat uparł się przy zachowaniu legatu dla apteki. W końcu bowiem generał skreślił wszystkie wogóle legaty testamentu i w najkrótszym, jaki dotychczas podpisał dokumencie, pozostawił całe swe ruchome i nieruchome mienie wyłącznie „mojemu, kochanemu bratańcowi“.

— On jest żonaty, prawda? — spytał.

— Podobno! — odparł Jack.

— Podobno? Cóż mi po tem! — wrzasnął starzec. — Jesteś pan moim adwokatem i masz obowiązek wiedzieć wszystko. Wywiedz się pan natychmiast czy żonaty, kto jest jego żona, z jakiej rodziny pochodzi i poślij pan im zaproszenie na obiad do mnie.

— Na kiedy? — spytał osłupiały adwokat.

— Na dziś wieczór! — oświadczył starzec. Przybędzie w odwiedziny pewien dżentlemen, lekarz mój z Yorkschire. Będzie towarzystwo wesołe! Czy ona ładna?

— Zdaje się.

Jack powiedział to z wahaniem, uczciwie zażenowany tem, że wie tak mało o Gilbercie i sprawach jego.

— Jeśli ładna i wytworna — powiedział generał powoli — uczynię dla niej osobny zapis jeszcze.

Jacka ogarnął strach. Czy miało to oznaczać nowy testament? Ale tak, czy owak, telegramy zostały wysłane.

Edyta otrzymawszy swój, przeczytała go ze zdumieniem niezmiernem.

Telegram Gilberta został w przedpokoju na stole. Nie wrócił do domu ani w nocy, ani też przez cały dzień ten.

Czerwone od płaczu oczy młodej kobiety były wymownem świadectwem, że trapiła ją dotkliwie troska o męża.

## VI.

## KLEJNOTY RODZINNE STANDERTONÓW.

Edyta spakowała pospiesznie toaletę wieczorową, czyniąc przygotowania do krótkiej podróży do Huntingdon. Zabrała garderobianę. Było jej niemiło, że jedzie sama, bez Gilberta, ale postanowiwszy być użyteczną mężowi, uznała, iż obecność jej na obiedzie u zdziwczalego krewniaka jest niezbędną. Toteż uczyniła to z ochotą.

Zdążyła na czas jeszcze do pociągu o czwartej, odchodzącego w kierunku miasteczka Tinley.

Stary generał uczcił ją wyjątkowo zjawieniem się na stacji we własnej osobie.

— Gdzie Gilbert? — spytał po wzajemnem przedstawieniu.

— Całkiem niespodzianie został wezwany w interesach, — odparła — będzie zrozpaczony, dowiedziawszy się o tem.

— Nie sędzę, by tak być miał! — oświadczył starzec z gniewem. — Dużoby trzeba, by Gilberta doprowadzić do rozpacz. Cóż mu

zresztą zależy na sposobności pogodzenia się ze starym, jak ja dziwakiem. Ale w grucie rzeczy — dodał — to pogodzenie jest zupełnie niepotrzebne. Tak, zresztą dzieje mi się zawsze. Ten, kogo skreślę z testamentu uważa mnie za śmiertelnego wroga.

— W takim razie proszę mnie nigdy nie wciągać do swego testamentu! — rzekła z uśmiechem.

— Nie jest to jeszcze pewne... — odrzekł, dodając z galanterją... — chociaż, zaprawdę, natura wyposażyła panią tak, że możesz obejść się bez rzeczy tak błachych, jak pieniądze.

Zrobiła szelmowską minkę.

Stary impetyk był zachwycony uroczem towarzystwem bratanicy, a Edyta ze swej strony starała się go pozyskać sobie.

Miała wielką zręczność w traktowaniu ludzi starszych, budząc w nich wrażenie, że są równie młodzi, jak ona sama. Trudno chyba lepiej określić i scharakteryzować jej zachowanie. Pełna uroku młoda kobietka opanowała w mgnieniu oka starego dziwaka.



Edyta nie wiedziała wcale z jakich powodów zaszła zmiana w losie jej męża. Wogóle, sprawy jego były jej znane bardzo mało. Wiedziała tyle tylko, że został wydziedziczony bez winy własnej; ale nie przyszło jej nawet do głowy, by stać się to miało wyłącznie z kaprysów tego starego jegomości.

— Musi pani przybyć do mnie niedługo razem z Gilbertem! — powiedział generał zanim się rozeszli, by przywdziać stroje wieczorowe. Sprawi mi to radość wielką.

Zakłopotiała ją odpowiedź, ale na szczęście sam generał usunął tę trudność. Podskoczywszy żywo, zawołał:

— Wiem dobrze, co byś pani chciała zobaczyć! Oto niezawodnie klejnoty rodzinne Standertonów! Zaraz pokażę.

Edyta nie miała, coprawda wielkiej ochoty oglądać klejnoty, nie wiedząc nawet, o istnieniu takiej spuścizny, ponieważ jednak myśl pokazania ich zdawała się uszczęśliwiać staruszka i ponieważ była przecież kobietą, okazała skłonność spojrzenia na drogie kamienie, których właścicielką być chyba nie mogła nigdy.

Zaprowadził ją do biblioteki, a Jack poszedł za nimi.

— Tam są oto! — rzekł staruszek z dumą, wskazując wielką kasę w kącie, potężny, pokryty ozdobami trezor. — To świeży nabytek, — dodał — kupiony od pewnego człowieka, który żądał sześćdziesiąt funtów. Taki przeklęty oszust... tak szubrawy agent. Kupiłem ją za trzydzieści. Cóż pan powiesz?

— Jest, widzę bardzo piękna! — odpowiedział Jack, któremu nie wpadło jakoś nic stosowniejszego.

Starzec łysnął nań spojrzeniem.

— Piękna? — parsknął gniewnie. — Sądzisz pan, że mi potrzeba rzeczy pięknych?

Dobył z kieszeni pęk kluczy, otworzył kasę, wyciągnął jedną z szuflad i dobył puzderko safjanowe.

— Proszę patrzeć! — powiedział z dumą i mógł być istotnie dumny z klejnotów.

Czysto ko kobiecemu zainteresowana Edyta przesuwała kamienie przez palce. Oprawa była wprawdzie starodawna, ale właśnie teraz ubiegano się za wzorami dawnymi i naśladowano

je nawet. Kamienie błyszcząły i lśniły, jak gdyby każda faseta miała w sobie maleńką lampkę elektryczną, rzucającą promienie zielone, błękitne i różowe.

Nawet Jack Frankfort, nie będący zgoła miłośnikiem klejnotów, został tym widokiem oczarowany.

— Sir! — powiedział — te kamienie muszą chyba wartać z jakieś sto tysięcy funtów!

— Więcej! — rzekł staruszek. — Tu oto mam naszyjnik z pereł! — dodał, wyciągając inną szufladę. — Proszę obejrzeć! Słowem w tej kasie posiadam klejnotów za przeszło ćwierć miliona funtów.

— W kasie, która kosztuje trzydzieści ... wyrwało się Jackowi nieopacznie.

Starzec zmierzył go surowem spojrzeniem.

— W kasie, która kosztuje sześćdziesiąt funtów! — poprawił szorstko. — Wszakże mówiłem, jak naciągnąłem tę świnię parszywą... przepraszam, droga pani! — uśmiechał się, zadowolony z siebie złożył klejnoty na miejscu i zamknął kasę. — Żądał sześćdziesiąt funtów. Przybył tu w postaci prawdziwie londyńskiego

fircykowatego gamonia z City, długi surdut, cylinder, lakierki... To skandal prawdziwy, jak się teraz nosi ta hołota. Moznaby to uważać za dżentlemena niemal.

Jack spoglądał na szafę. Znał się potrosze na wartości tego rodzaju przedmiotów.

— Pojąć nie mogę — rzekł — jak mógł ją sprzedać za tę cenę. Ta kasa warta jest conajmniej dwieście funtów.

— Co? — stary generał obrócił się do swego adwokata z niesłychanem zdumieniem.

Jack skinął głową.

— Właśnie przypominam sobie, że mam w biurze kasę tej samej konstrukcji, która kosztowała dwieście dwadzieścia funtów.

— Sam żądał sześćdziesiąt.

— To dziwne. Może byłby pan łaskaw otworzyć raz jeszcze, chciałbym obejrzeć rygle.

Generał nie miał nic przeciw otwarciu, potężne drzwi odskoczyły. Jack zbadał starannie silne rygle. Były całkiem nowe.

— Doprawdy, nie rozumiem, jak mógł ofiarować za sześćdziesiąt? Musiałeś się pan, ge-

nerale targować tego, by to dostać za trzydzieści!

— Ma się rozumieć! — odparł generał zadowolony ze siebie bardzo. — Musicie państwo wiedzieć — dodał po chwili, gdy wracali do salonu — że zaprosiłem na dzisiejszy wieczór pewnego dżentlemana jeszcze. Jest to lekarz z Yorkshire, nazwiskiem... Barclay-Seymour. Czy znacie go państwo?

Jack go nie znał, ale Edyta przypomniała sobie.

— O tak! To mój dawny znajomy!

— Dość wielki głupiec! — powiedział generał, stosując swą uproszczoną metodę klasyfikacji.

Edyta roześmiała się.

— Słyszałam już, panie generale, że wedle zapatrywania pańskiego istnieje tylko dwa rodzaje ludzi, szubrawcy i głupcy. Radabym bardzo wiedzieć — dodała z uśmiechem powabnym — do której kategorii mnie pan zaliczasz.

Staruszek ściągnął brwi i rzekł, patrząc w jej promieniejące pięknnością oblicze.

— Dla pani zmuszony będę chyba stworzyć klasę odrębną. Tak, tak... chociaż nie, wszakże kobiety są przeważnie głupie...

— Za pozwoleniem... — roześmiała się z pewną urazą.

— Są przeważnie głupie! — upierał się. — Spojrz pani na mnie. Gdyby kobiety nie były głupie, czyż zostałbym kawalerem? Gdyby jakaś elegancka, piękna i mądra kobieta posiadała tyle zdecydowania, by mnie wziąć w obroty, nie byłbym teraz kawalerem, który musi zostawiać majątek ludziom nie troszczącym się o niego wcale. Czy mąż pani zna doktora? — dorzucił znienacka.

Edyta zaprzeczyła gestem głowy.

— Sądzę, że nie zna! — odrzekła. — Pewnego wieczoru, przy obiedzie mogło już być dojsć do znajomości pomiędzy nimi, ale Gilbert musiał odejść przedtem w ważnej sprawie.

— A jednak — upierał się starsuszek — znać go musi. Nieraz rozmawiałem z Gilbertem o Barclay-Seymourze, który zresztą, mówiąc nawiasem, nie jest znowu tak wielkim, jak inni lekarze głupcem. Zwłaszcza przedtem miałem

o nim wysokie wyobrażenie! Obawiam się nawet, czym nadmiernie nie wystawiał go wobec Gilberta. Mąż musiał pani chyba wspomnieć o tem?

Edyta potrząsnęła przecząco głową.

— Niewdzięczny smarkacz! — zauważył generał, zgoła nielogicznie.

W tej chwili zjawił się lokaj, niosąc telegram na tacy.

— No i cóż? — spytał sir John, nasadził okulary na koniec nosa i jął spoglądać na służącego ponuro. — Cóż to jest?

— Telegram, panie generale! — odrzekł lokaj.

— Ośle dardanelski! Sam widzę, że telegram! Kiedy nadszedł?

— Przed paru minutami, sir.

— Kto go przyniósł?

— Posłaniec z urzędu, sir! — odparł służący z niewzruszonym spokojem.

— Czemuż nie powiedziałeś tego odrazu? — fuknął generał z wielką ulgą, a Edyta czyniła wielkie wysiłki, by wobec tej małej scenki nie wybuchnąć śmiechem.

Generał otworzył depeszę, rozłożył, przeczytał powoli, ściągnął brwi i przeczytał powtórnie.

— Cóż to ma znaczyć u djaska? — spytał, podając depeszę Edycie.

Przeczytała.

— Wyjm stryju niezwłocznie z trezoru klejnoty Standertonów i złóż je w banku. Gdyby było zbyt późno, oddaj pod straż zbrojną.

Gilbert Standerton.

## VII.

### OPOWIADANIE DOKTORA.

Generał przeczytał telegram raz jeszcze. Niezależnie od ekscentryczności swojej, był to człowiek roztropny i mądry.

— Cóż to może znaczyć? — pytał sam siebie. — Gdzie jest Gilbert? Skąd nadał telegram?

Obeirzawszy blankiet przekonał się, że telegram nadany został o 6.35 w głównym urzędzie londyńskim.



Pora obiadowa generała odpowiadała porze śniadaniowej. Gong wezwał Edytę do stołu o kwadrans na dziesiątą.

Była wielce zatroskana, nie mogąc odnaleźć związku w kwestji klejnotów. — Co skłoniło Gilberta do tego zawiadomienia? — wiedząc coś więcej o zajściach ubiegłego popołudnia, byłaby się raczej dziwiła, jak zdołał wogóle przesłać depezę.

Generał wziął ostrzeżenie serjo, ale nie aż do tego stopnia, by się miał zdecydować na przechowanie klejnotów gdzieindziej. Kupno trezoru było w samej rzeczy potrzebne, gdyż nie miał w całym domu schowka na przedmioty wartościowe, bo za taki nie można było chyba uważać szafki ze srebrem stołowem zarządcy gospodarstwa.

Obejrawszy raz jeszcze dokładnie klejnoty w trezorze i zamknąwszy kasę, zostawił w bibliotece służącego, przykazując mu surowo nie wydalać się bez jego osobistego zezwolenia.

Gdy Edyta zeszła do jadalni, została przwybyłego właśnie gościa i pozdrowiła go z uśmiechem.

— Jak się pan ma, panie doktorze? — powiedziała. — Nie dawno poznałam pana wszakże u matki mojej. Czy pan pamięta mnie?

— O, pamiętam doskonale! — odparł lekarz.

Był to mężczyzna chudy, kościsty, o rzadkiej, szpakowatej brodzie i wysokiem czole.

Skutkiem nieustannego roztargnienia, czynił wrażenie, jakby miał coś ważniejszego na myśli, niż wiedzoną właśnie rozmowę. Nie usposobiło to dlań przychylnie. Cieszył się największą pewnie sławą między lekarzami prowincji. Dziś wyjątkowo był łaskaw wyleźć ze swej skorupki o tyle przynajmniej, by uznać Edytę i matkę jej za swe znajome. Pani Cathcart wychowana razem z Barclayami, była z nimi ściśle zaprzyjaźniona.

— Matka pani, to dzielna kobieta! To czcigodna kobieta! — oświadczył lekarz, prowadząc Edytę do stołu.

Z wielkim jeno wysiłkiem zdołała powściągnąć pytanie, z jakiego powodu matka jej jest dzielną i czcigodną. Opanowała się,

oczywiście, ale bliską była tego, straszego nietaktu.

Przebieg obiadu ucierpiał znacznie przez niedwuznaczne zdenerwowanie starego generała, tak że nie zapanował nastrój miły. Dwa razy posyłał jednego z trzech obsługujących lokajów, by zasięgnąć wieści od posterunku... jak mówił... w bibliotece. Dotąd nie zaszło nic podejrzanego.

— Nie wiem co mam począć z tą całą historją klejnotów! — powiedział. — Gilbert nie chciał mnie, chyba wykierować na głupca?

Zwrócił się do Edyty z życzliwością, choć jednocześnie zasępiony.

— Czy może w czasach ostatnich nabrał skłonności do kpiarstwa?

Edyta roześmiała się.

— O nie! — rzekła. — Kpiarzem nie był i nie jest Gilbert wcale.

— Czyż atoli nie dziwna jest wiadomość jego? — zauważył generał markotnie. — Nie wiem, u djaska co z tem począć! Mógłbym wezwać policji, ale policjanci tutejsi do straszni

idjoci. Mam wielką ochotę rozgospodarować się na noc w bibliotece i tam spać.

Zajęła go żywo ta myśl, chociaż dosięgnął wieku, kiedy nocowanie poza zwykłym legowiskiem, stanowi coś w rodzaju bohaterstwa.

Po obiedzie przeszli wszyscy do salonu.

Generał przejawiał wielki niepokój, a nerwowość udzieliła się także Edycie chociaż, z pozoru, zupełnie spokojnie zanuciła przy fortepianie francuską piosnkę miłosną.

— Wiem już co zrobimy! — oświadczył sir John nagle. — Oto, przeniesiemy się wszyscy do biblioteki. Jest to ładny, wygodny pokój, gdzie, jeśli pani pozwoli, będziemy mogli palić.

Był to pomysł wyśmienity, na który przystano z przyjemnością. Podczas gdy Edyta w towarzystwie generała szła po schodach, zauważył gospodarz domu, że jest jedyną damą w małym towarzystwie.

Obejrzała się spiesźnie.

— Zawsze uważałem lekarza za nader odpowiednie towarzystwo dla kobiety! — powiedział, parszkając śmiechem i zdawało się, iż dowcip ten bawi go,

Jał rozwijać tę myśl szerzej, wygadując niestworzone rzeczy na stare baby w różnych zawodach, aż do chwili, gdy mu przerwało zjawienie się doktora i Jacka.

Biblioteka była obszerną komnatą. Cechowało ją to głównie, że nie mieściła innych dowodów literackich skłonności sir Johna, prócz kilkunastu tomów „Encyklopedji Brytyjskiej”, oraz półki, zapełnionej egzemplarzami „Przewodnika po torze wyścigowym” Ruffa.

Komnata była miła, z kasetonowym stropem i dębową boazerją, o wielkich niszach okiennych, wychodzących, jak mówił generał, na terasę, co podkreślało bardziej jeszcze obawy jego.

— Zasuń firanki! Wiliamie! — rozkazał sir John czekającemu lokajowi. — Potem możesz odejść. Pamiętaj tylko, by przyniesiono kawę.

Lokaj zasunął ciężkie, aksamitne firanki, przysłaniające wielkie nisze, podsunął Edycie fotel i wyszedł.

— Przepraszam państwa! — powiedział sir John.

Podszedłszy do kasy, otworzył ją ponownie. Zbadanie pudełek wykazało, że wszystko w porządku.

Odetchnął z ulgą niezmierną.

— Ta depesza Gilberta działa mi na nerwy! — tłumaczył swój niepokój. Poczóż u djaszka telegrafował? Pewnie zalicza się do ludzi, którzy telegrafują, by sobie oszczędzić fatygi zaklejenia koperty listu!

Edyta potrząsnęła głową.

— Ja także, podobnie, jak pan łamię sobie głowę nad tą zagadką, ale ręczę, iż Gilbert nie jest człowiekiem czyniącym bez powodu alarm.

— Jakże pani z nim żyje? — spytał generał.

Edyta zarumieniła się zlekka.

— Zupełnie dobrze! — odparła, starając się potem skierować rozmowę na inny temat. Ale było ogólnie znaną rzeczą, nie udało się dotąd żadnej ludzkiej istocie odwieść sir Johna od rozpoczętego raz śledztwa.

— Szcześnie i tak dalej... nieprawdą? — indagował.

Przykrą była ta rozmowa dla Edyty, a także wyraźnie obu mężczyznom. Ale sir John miał przekonanie (nie sam jeden zresztą), że lekarze nie posiadają zmysłu przyzwoitości, a adwokaci nie wiedzą zgoła co wypada, a co nie.

— Kochasz go pani, przypuszczam, he?

Edyta skinęła głową, potem zaś wbiła oczy w przeciwległą ścianę. Na szczęście wniesiono kawę i Edyta odetchnęła z ulgą.

— Chcę panią zatrzymać u siebie, aż do przybycia Gilberta! — oświadczył porywczó generał. — Nie wiem, czy pani wiadomo, że jesteś pierwszą osobą płci żeńskiej, jaką toleruję w mym domu.

Roześmiała się.

— To jest fakt niezaprzeczalny! — potwierdził z powagą. — Widzi pani nie umiem sobie radzić z kobietami. One nie rozumieją wcale, że jestem starowina bardzo, wprawdzie drażliwy, ale przytem całkiem spokojny i niewinny. Tak, ta moja drażliwość odpycha każdego! — przyznał z westchnieniem. — Kobiety nigdy nie zachowują się wobec mnie bezwstydnie, ani

też ordynarnie, ja zaś znieść nie mogę ich łagodnego, męczeńskiego wyrazu. Gdyby mi któraś powiedziała: idź pan do djabła!... wiedziałbym przynajmniej czego mam się trzymać. Chcę pełnej, nagiej prawdy, bez sztuczek teatralnych. Wolę lekarstwo bez cukru.

Doktor roześmiał się.

— Różnisz się pan tedy, sir Johnie, od większości ludzi! — powiedział. — Znam takich, którzy są w znacznej mierze wrażliwi na nagą prawdę.

— Tem więksi z nich głupcy! — zdecydował generał.

— Nie sądze, by tak było! — odparł lekarz z zadumą. — Mam raczej sympatje dla człowieka, który nie chce, by mu niby cegłę na głowę rzucono cała, gorzka prawda. Chociaż czasem — dodał ze smutkiem — przynosi pewne korzyści znajomość prawdy, gdyż szczydzi to wielu trosk i udręczeń niepotrzebnych. Dam państwu przykład tego rodzaju i to zgoła niezwykły! — mówił jak zawsze rzeczowo, z namysłem.

— Cóż to? — spytał nagle generał.



— Zdaje mi się szmer jakiś w sieni, na dole! — odparła Edyta.

— A ja pewny byłem, że u okna! — mruknął generał, zawstydzony myślą, że może spostrzeżono drgnienie jego.

— Opowiadaj pan dalej, doktorze! — powiedział.

— Przed kilku miesiącami — zaczął Dr. Seymour — przyszedł do mnie młody człowiek. Zaliczał się wyraźnie do sfery wyższej i nie był mieszkańcem Leedsu, gdyż znałbym go był napewne. Potem wymiarkowałem, że przyjechał z Londynu, specjalnie po poradę do mnie. Rzecz polegała na tem, iż skaleczył się odłamkiem zęba, co jest rzeczą codzienną niemal, u ludzi nie bardzo dbających o całość uzębienia swego. W wnętrzu jamy ustnej powstała mała ranka, która go bardzo niepokoiła, tembardziej, że jak to zauważył, nie goiła się przez czas dłuższy. Podobnie, jak my wszyscy niemal, bał się ogromnie raka! — tu zniżył głos, jak to czynią zazwyczaj lekarze, mówiąc o tej najstraszliwszej z wszystkich chorób. — Nie chciał zasięgnąć porady u swego lekarza domowego,

a nawet nie miał prawdopodobnie swego lekarza. Zbadałem go starannie i odrazu było mi jasnym, że mu nic nie jest. Ale dla wszelkiej pewności, wyciąłem maleńki kawałek naskórka dla zbadania pod mikroskopem.

Edyta zadrżała.

— Proszę pani — uspokoił ją doktor — w historii mojej nie będzie już dalej nic straszego. Przyrzekłem, oczywiście pacjentowi, że mu doniosę o wyniku badań i poprosiłem w tym celu o adres. Odmówił stanowczo. Był bardzo podniecony nerwowo... Wiem, powiedział, że jest to tchórzostwo moralne, ale nie chcę dowiedzieć się całej prawdy bezpośrednio. Jeśli obawy moje będą uzasadnione, pragnę, by wiadomość ta doszła mnie w formie możliwie najmniej bolesnej.

— W jakiejże to formie? — spytał generał bezwiednie zainteresowany.

Doktor odetchnął głęboko.

— Zdaje się był czemś w rodzaju muzyka... — podjął na nowo, a Edyta wyprostowała się nerwowo, zacisnęła palce i wbiła oczy w opowiadającego — był czemś w rodzaju mu-

zyka, w każdym razie kochał bardzo muzykę. Toteż forma przesłania wiadomości była związana z muzyką, czego nigdy w życiu nie doświadczyłem i pewnie nie doświadczę. Wręczył mi dwa bilety i jedną kopertę z adresem pewnego londyńskiego muzykanta, którego, zda się, wspomagał.

Edycie wydało się, że pokój wiruje wokół niej, tak, że z trudem jeno zachowała równowagę. Twarz jej pobieliała jak śnieg, a palce ścisnęły poręcz fotelu tak silnie, że krew z nich odpłynęła całkiem.

— Jak wspomniałem, bilety te, bez nazwiska, skierowane do londyńskiego przyjaciela miały tę samą treść, z małą tylko zmianą... Udasz się pan tam a tam i zagrasz melodię F-dur... było na jednym, zaś na drugim... wypisał „Pieśń wiosenna”. Pozatem oba bilety zawierały identyczne zlecenie. Ale tutaj oto właśnie rozpoczyna się tragedia! Na wypadek, gdybym znalazł raka, miałem posłać bilet z melodią F-dur.

Zapanowała głęboka cisza, przerywana tylko szybkim, głośnym oddechem młodej kobiety.

— I cóż? I cóż? — szepnęła bezwiednie.

— I cóż? — powtórzył doktor, napół przytomnie. — Jestem często roztargniony... Włożyłem w kopertę bilet fałszywy, a zniszczyłem drugi, zanim zdołałem spostrzec omyłkę.

— A więc on nie ma raka? — szepnęła Edyta.

— Nie ma. Ale ja nie znam jego nazwiska, ni adresu i nie jestem w możności sprostować. Rzecz to, pod wielu względami tragiczna. O ile wiem, młody ten człowiek zamierzał wówczas żenić się, bowiem powiedział mi wyraźnie... Jeśli obawy moje znajdą potwierdzenie, a ja będę żonaty, pozostawię żonę w niedostatku... potem zadał dziwne zgoła pytanie... — dodał lekarz. — Sądzę, że zdaniem pańskim, człowiek skazany na śmierć może popełnić każdą zbrodnię, o ile idzie o ochronę ukochanej, którą pozostawić ma na świecie?

— Teraz wszystko jasne! — rzekła Edyta głosem głuchym, z wielkiej jakby dochodzącym dali.

— A to co? — zawołał generał, zrywając się.

Tym razem nie było już wątpliwości. Jack Frankfort skoczył do firanki zasłaniającej jedną z nisz okiennych i odsunął ją. Stał tu Gilbert Standerton, blady, jak widmo. Oczy miał nieruchomo utkwione w próżnię, a dłoń zakrywająca usta, drżała.

— Fałszywy bilet! — powiedział. — Boże wielki!

## VIII.

### ROZKŁAD JAZDY.

Miesiąc potem wrócił Gilbert Standerton z ministerstwa spraw zagranicznych do małego mieszkanka swego w St. Johns Wood.

— Czeka tu ktoś na ciebie! — powiedziała żona.

— Domyślam się! — odrzekł. — To zapewne prokurent banku mego.

Wesołym uśmiechem powitał rosnącego młodzieńca, który wstał na jego widok.

— Panie Brown — powiedział — muszę panu wyjaśnić szczegółowo, co chcę mieć załatwione. W Ameryce przebywa, od jakichś

sądzę, paru dopiero tygodni, pewien człowiek, któremu winien jestem kwotę dużą, okrągło 80.000 funtów. Toteż proszę bardzo, byś się pan postarał o płynną gotówkę, umożliwiającą tę zapłatę.

— Masz pan do dyspozycji, panie szefie, znacznie więcej — odparł prokurent — i zaraz można to załatwić, nie sprzedając ani sztuki pańskich, pewnych papierów.

— To dobrze! Szczegóły znajdziesz pan tutaj! — rzekł Gilbert, kładąc na stole złożony arkusz. — Idzie o sprawę pewnej spółki. To znaczy, owa kwota ma być przekazana dwu ludziom o nazwiskach Tomasz Black i Jerzy Smith. Możliwe, że oni mają porachunki z innymi jeszcze współnikami, uprawnionymi do udziału! — dodał z uśmiechem.

— Nie miałem dotąd sposobności złożyć panu gratulacji, panie Standerton — powiedział prokurent — a mianowicie z powodu przedwznowionej przysługi, oddanej przez pana miastu. Podobno panu zawdzięczają wszyscy okradzeni swego czasu przez słynną bandę Wallisa, odzyskanie mienia.

— Jest to mniej więcej zgodne z prawdą! — rzekł Gilbert swobodnym tonem.

— Czytałem w dniach ostatnich sprawozdanie w jednym z dzienników! — powiedział prokurent. — Wielkie to szczęście, że w bezpośrednim sąsiedztwie głównej kwatery zbrodniarzy wybuchł pożar.

— Wielkie to szczęście, że odkryto pożar, zanim dosięgnął domu firmy sprzedaży kas pancernych! — odparł Gilbert. — Strażacy dostrzegli mnie przez okno w suficie. To ułatwiło znacznie sprawę, chociaż mieli sporo trudu z wydobyciem mnie z pułapki, jak to pan wiesz, zapewne.

— Czy widziałeś pan sam może tego łotra, Wallisa? — spytał prokurent z zaciekawieniem.

— Musiałeś pan to widzieć przeoczyć w dziennikach! — odrzekł Gilbert — z chłodnym uśmiechem.

— Wyczytałem tam, że otrzymawszy w jakiś sposób wiadomość o zamierzonym włamaniu do willi stryja, pośpieszyłeś pan tam, spotykając Wallisa tuż pod oknem biblioteki, na przybudówce, czy czemś w tym rodzaju.

— Było to na terasie.

— Na widok pański łotrzyk umknął.

— To nie jest w pełni ściśle! — rzekł Gilbert. — Moznaby tylko powiedzieć, że moja obecność skłoniła go do odejścia. Ponieważ nie wiedziałem, czy nie przywłaszczył sobie już przedtem klejnotów, wdarłem się przez okno do pokoju, nie spostrzegłem, że jest tam ktoś. Było tu niemal ciemno, gdyż grube firanki tamowały dopływ światła. Podczas tego, Wallis uciekł. Oto cała historia.

Dawszy jeszcze parę rad w kwestji przekazania pieniędzy i odprowadziwszy prokurenta do drzwi, udał się do pokoju Edyty, która podeszła doń uśmiechnięta słodko.

— Czy nie wydaje ci się teraz dziwnie w ministerstwie spraw zagranicznych? — spytała.

— Z początku było mi istotnie trochę dziwnie, po poprzednich przedsięwzięciach moich! — rzekł ze śmiechem.

— Nie myślałam wcale, że sir John posiada tyle wpływu, by cię tam umieścić z powrotem.

— Posiada on wpływ znacznie większy, niż myślisz — powiedział, — ale wyszło mi także



na korzyść to, że oddałem ministerstwu kilka drobnych przysług, w czasie, kiedy oddawałem się mojej ciemnej działalności.

Patrzyła nań w zadumie.

— Możebyśmy wrócili do punktu, gdzie zaczęły się stosunki nasze? — spytała.

— A gdzież się wogóle zaczęły? — odpowiedział pytaniem.

— To prawda! — przyznała. — Właściwie, nie zaczęły się nigdzie.

W chwili, gdy wszedł do pokoju, Edyta patrzyła w rozkład jazdy. Teraz wzięła go znowu do ręki, obracając kartki niedbale.

— Czy cię interesuje ten rozkład? — spytał.

— Bardzo nawet! — odparła. Chcę, mianowicie zdecydować się właśnie na coś.

— Na cóżto? — rzekł zdziwiony.

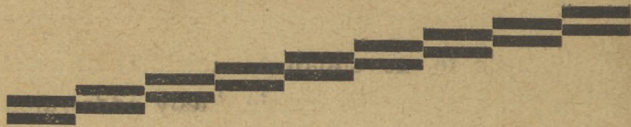
— Chcę zadecydować, gdzie spędzimy nasze miesiące miodowe... — szepnęła zcicha.

KONIEC.

BIBLIOTEKA

ZOFII I JĘDRZEJA MORACZEWSKICH

BIBLIOTEKA  
BN  
DOWY



NARESZCIE WYDAWNICTWO NASZE WPA-  
DŁO NA POMYSŁ WYDAWANIA KSIĄŻEK

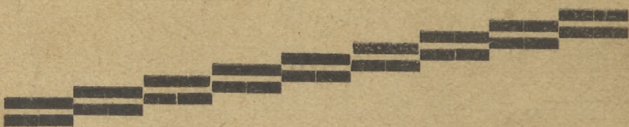
# EDGARA WALLAC'A

---

PO 3.— ZŁ., UDOSTĘPNIAJĄC TEMSAMEM  
WSZYSTKIM POZNANIE TEGO PISARZA  
W JEGO DZIEŁACH JAK:

*Wyd. 1904*

FALSZERZE DOLARÓW . . .	3.— ZŁ.
SPLĄCONY DŁUG . . .	3.— „
POD BICZEM ZGROZY . . .	3.— „
WILLS ZBRODNIARZ . . .	3.— „





EDGAR WALLACE  
CZŁOWIEK  
BEZ  
TWARZY

CENA 5 ZŁ.

NAJLEPSZA KSIĄŻKA TEGO KRYMI-  
NALOGA ODTWÓRCY WSZELKICH  
ZBRODNI I KRYMINAŁÓW. CZYTA SIĘ  
JĄ JEDNYM TCHEM.



---

---

EDGAR WALLACE

MELODJA  
ŚMIERCI

CENA 3 ZŁ.

POWIEŚĆ

KTO ROZPOCZNIE CZYTAĆ TĘ KSIĄŻKĘ,  
NIE POTRAFI FORMALNIE ODERWAĆ SIĘ  
OD NIEJ I KOSZTEM KILKU GODZIN BĘ-  
DZIE POŁYKAŁ JEJ NADER ZAJMUJĄCĄ  
FABULĘ.

---

---

EDGAR WALLACE

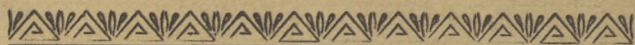
# SPŁACONY DŁUG

CENA 3 zł.

PRZEŁOŻYŁ L. ON-RUT.

P O W I E Ś Ć

Dalszy ciąg powieści „Falszerze dolarów“.  
W książce tej poznajemy dalsze dzieje miljo-  
nera Comstocka Bell'a, który oddaje się  
w ręce sprawiedliwości, ulegając kaprysowi  
lat młodzieńczych, odsiadywuje karę za cu-  
dzą winę lecz żona-detektyw jest na tropie  
prawdziwych fałszerzy dolarów, którzy do-  
stają się do więzienia.



HUGO BETTAUER  
**CHŁOPIĘCA MIŁOŚĆ**

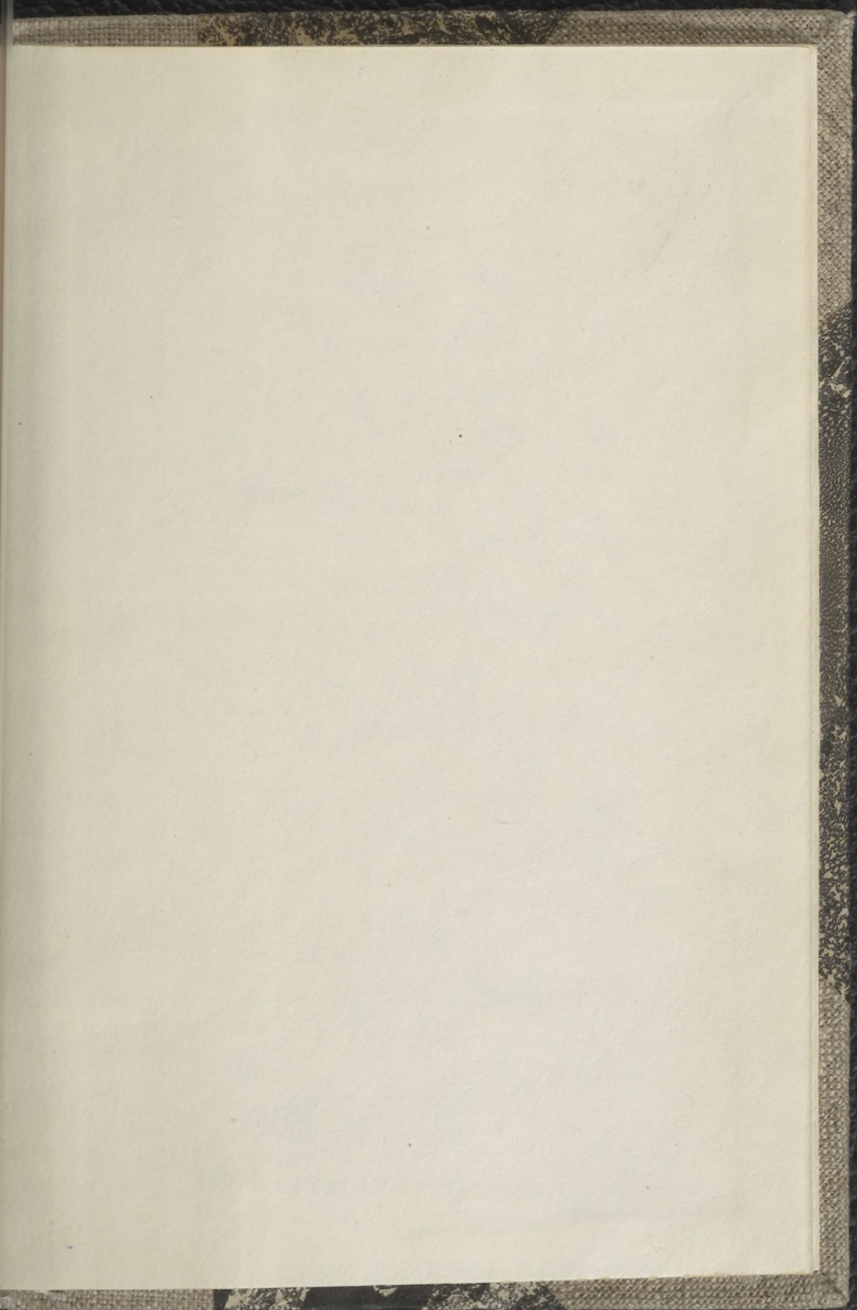


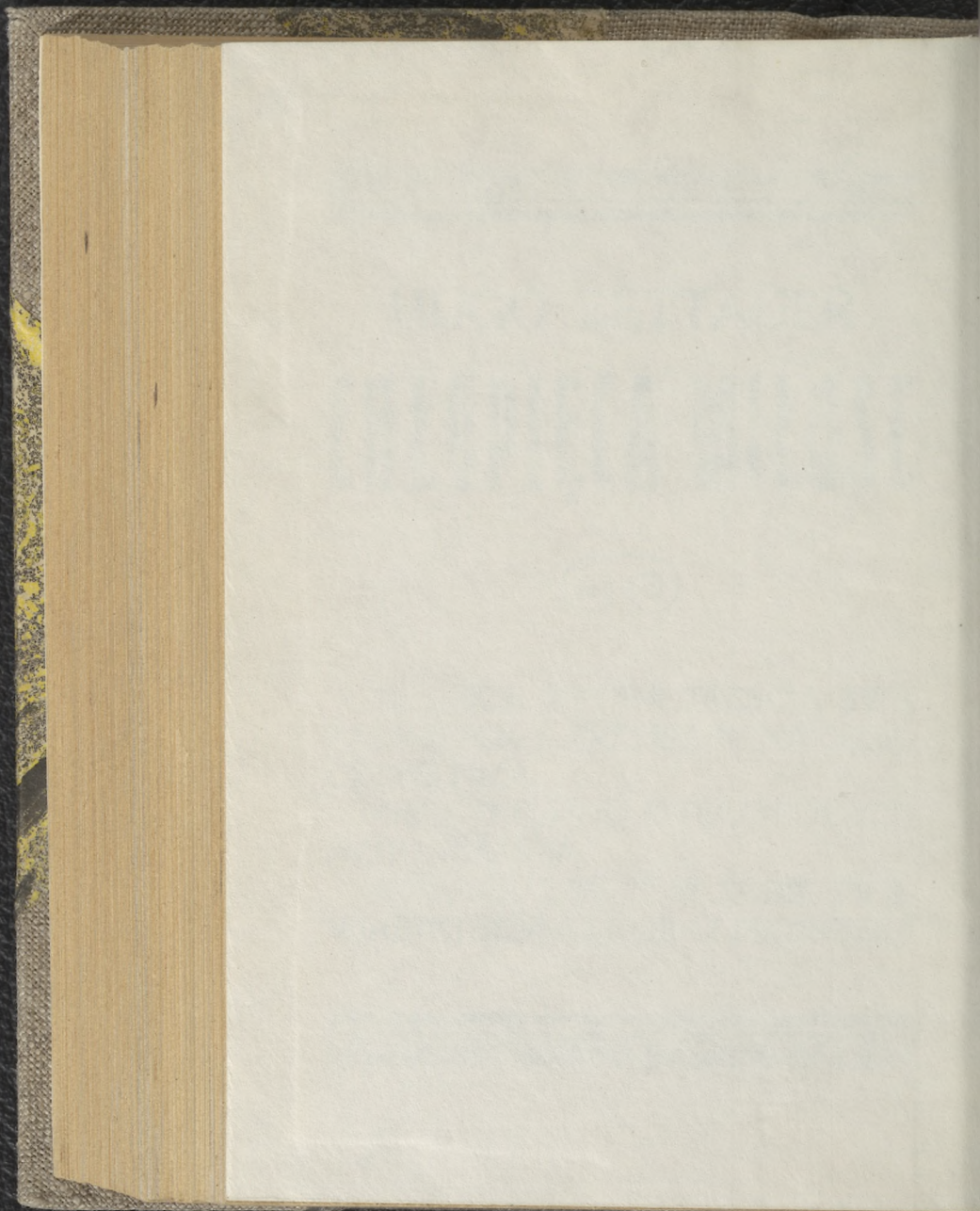
KSIĄŻKA, KTÓRA TREŚCIĄ SWĄ  
ZACHWYCA I TRZYMA W NAPIĘCIU  
CZYTELNIKA.

OSTATNIE DZIEŁO TEGO POCZYT-  
NEGO PISARZA.

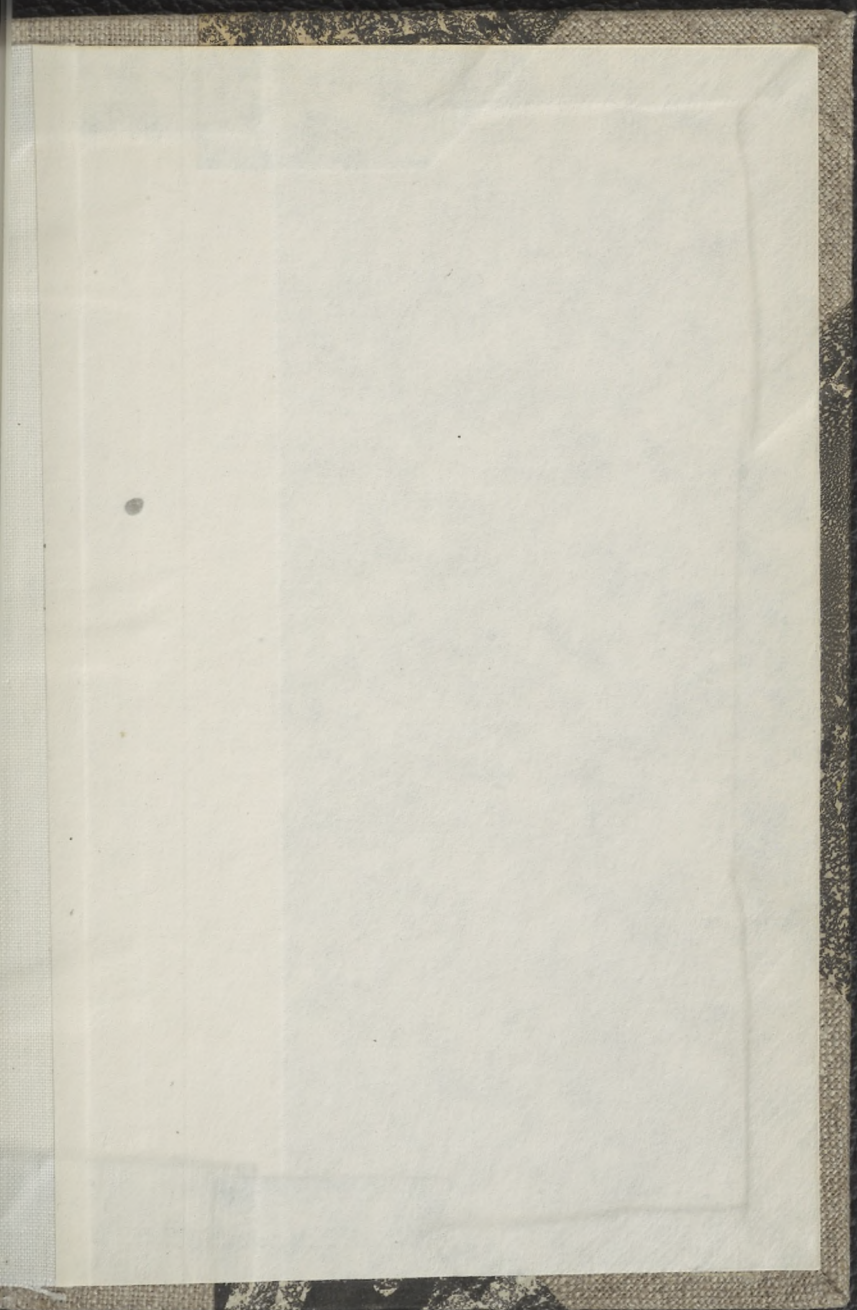
KSIĄŻKA ŁĄCZY W SOBIE PIER-  
WIASTKI SENSACJI ORAZ PIKANTERJI













1571284

1571285

Biblioteka Narodowa  
Warszawa



30001017856131